

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Historycy o powojennym oporze nie pisali...

● Rozmowa z pełniącym obowiązki dyrektora Muzeum II Wojny Światowej prof. Rafałem Wnukiem

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

79 lat

Piątek
9.08.2024

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 185 (24 243) // Rok 79
Cena 5,80 zł (w tym 8% VAT)

**Rycerze i damy
ziemi sztumskiej.**
30-lecie ekipy
rekonstruktorów
str. 6



FOT. R. KONCZYŃSKI

**Kaszubi w Bitwie
Warszawskiej.**
Odegrali istotną rolę
w walce
str. 8-10

Teatr Wybrzeże
przygotowuje
spektakl na Scenę
Letnią w Pruszczu
Gdańskim **str. 16-17**



FOT. D. OLEJNICZAK

Magazyn Puls

Andrzej Person:
Moje oczekiwania
dotyczące startu
Polaków nie były
wygórowane
str. 20-21

SPOŁECZEŃSTWO

**Gry stanowią ważny
komentarz społeczny**

- To bardzo ciekawe, jak gry zaangażowane społecznie penetrują te same rewiry, które często my widzimy w klasyce, na przykład literatury dystopijnej czy utopijnej, uważanej za kluczowy komentarz społeczno-polityczny dotyczący problemów XX wieku - mówi dr hab. Michał Kłosiński, prof. UŚ z Centrum Badań Groznawczych Uniwersytetu Śląskiego.

Czytaj str. 22-23

ROZMOWA

**Samorząd od nowa:
Krzysztof Jędrzejczyk**

Zanim zostałem zaprzysiężony musiałem wyciszyć emocje w urzędzie, w pracownikach. Bo została napędzona spirala strachu przede mną, choć jej nie rozumiałem.

Czytaj str. 2

BAŁTYK PODWODNI ODKRYWCY ZNALEŻLI NIESPODZIEWANY SKARB WE WRAKU ŻAGLOWCA

Jakie skarby skrywają morskie głębiny?



TOMASZ STACHURA / BALTICTECH

Pod koniec lipca Tomasz Stachura i inni członkowie Baltictech, pomorskiej grupy nurków, znanych z licznych ekspedycji, nie tylko w wodach Bałtyku, informowali o odkryciu spoczywającego u wybrzeży Szwecji, XIX-wiecznego żaglowca. Statek wypełniony był szampanem, wodą mineralną i winem. Odkrycie wzbudziło niemałą sensację. I wciąż pojawiają się w tej sprawie nowe wątki... **str. 4-5**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

SAMORZĄD OD NOWA KRZYSZTOF JĘDRZEJCZYK, WÓJT GMINY SŁAWNO

Przeszłość odkreślam grubą kreską

Tomasz Turczyn
tomasz.turczyn@polskapress.pl

Rozmowa z Krzysztofem Jędrzejczykiem, wójtem gminy Sławno

Jak pan ocenia wynik wyborów samorządowych, które pan wygrał?

Wynik mnie nie zaskoczył, ale zaskoczyła mnie aż taka przewaga – 508 głosów. Rozpoczynając kampanię wyborczą podchodziłem do ubiegania się o bycie wójtem spokojnie. Mówiłem sobie: „Wygram, albo nie wygram”. W miarę kampanii działy się różne wydarzenia i powiem ogólnie, że było by mi żal przegrać. Czy czułem przewagę w jej trakcie? Tak, ale nie do końca. Postawiłem na osobiste spotkanie z mieszkańcami w ich domach i rozmawiałem z nimi też podczas spotkań w świetlicach wiejskich. Wszędzie odbierałem pozytywne wrażenia, które nastrajały mnie optymistycznie. Rozmowy były konstruktywne. Oczywiście to nie jest tak, że można być pewnym wygranej. Prezentowałem swój program wyborczy i nim starałem się przekonać do zmiany wójta. Tu dziękuję mieszkańcom za uzyskane poparcie, które bardzo zobowiązuje. Powiem jeszcze, że gdy spływały cząstkowe wyniki głosowania to było mi bardzo miło, ale do końca czekałem co się wydarzy. Tak, jak już mówiłem, zaskoczyła mnie tak duża przewaga nad moim kontrkandydatem. Choć pod koniec kampanii wyborczej widziałem, że mój przeciwnik zintensyfikował swoją kampanię i czułem, że potrzebuje czegoś więcej, aby wygrać.

To już za panem. Został pan wójtem. Od czego rozpoczął pan pracę w Urzędzie Gminy Sławno?

Zanim zostałem zaprzysiężony musiałem wyciszyć emocje w urzędzie, w pracownikach. Bo została napędzona spirala strachu przed mną, choć jej nie rozumiałem. Na każdym zebraniu wiejskim powtarzałem, że nie planuję zwalniać, a ludzie



Krzysztof Jędrzejczyk: Na pewno nie przewiduję zmniejszenia liczby inwestycji

uwierzyli w coś odwrotnego. Dlatego spotykałem się z pracownikami urzędu i wyjaśniałem, że nie planuję rewolucji kadrowej. Już podczas kampanii mówiłem, że moim celem jest zmiana wójta, a nie osób zatrudnionych w Urzędzie Gminy. Zawsze doceniałem tę załogę i jej kompetencje. Już jako wójt spotkałem się raz jeszcze z pracownikami. Tu zaznaczę, że część z pracowników była na zebraniach wyborczych i zadawała dociekliwe pytania. Wiem, że też była powtarzana plotka, że będę się na nich mścił. Dlatego zapewniłem raz jeszcze, że zwolnień nie będzie, a to, że ktoś się „udzielał” na moich spotkaniach wyborczych, czy na sesjach jak byłem radnym, to odbieram coś takiego, jako lojalność wobec pracodawcy i takiej lojalności też oczekuję. Jeśli ktoś będzie chciał współpracować, to z mojej strony – mówiąc wprost – są otwarte wszystkie bramki. I to zadziałało, bo dotychczas [na moment nagrania rozmowy – dop. red.] nikt się nie zwolnił i ja nikogo nie zwolniłem z Urzędu Gminy. Mają zamiar odejść dwie osoby, ale sądzę, że jestem na dobrej drodze, aby to naprawić.

To jest decyzja tych osób?

Tak. Raz jeszcze chciałbym podkreślić, że nikogo nie zwolniłem w urzędzie pracu-

jąc tu miesiąc. Nawet jeśli chodzi o poprzedniego wójta to nie ja wypowiedziałem mu stosunek pracy, a poprzedni wójt. Przypomnę, że już w trakcie kampanii wyborczej mój kontrkandydat tak ją prowadził, że nie brałem pod uwagę pozostawienia jego zastępcy na tym stanowisku. Szukałem innych możliwości i myślę, że wicewójt Patryk Sienkiewicz sprawdzi się na tym stanowisku.

Jaki jest podział obowiązków między panami?

Pan Patryk pracował już w Urzędzie Gminy Sławno. Zna go i pracowników doskonale, był kierownikiem referatu inwestycji. Nie ukrywam, że jego osoba ułatwiła mi wejście do pracy w urzędzie. Mój zastępca zajmuję się między innymi oświatą i można powiedzieć, że wszystkim po trochu. W mojej kompetencji są inwestycje i wszystkie ważne – urzędowe – decyzje.

W jakim kierunku gmina Sławno będzie zmierzała? Jakie ma pan plany na tę kadencję?

Na pewno nie przewiduję zmniejszenia liczby inwestycji czy pozyskiwania funduszy zewnętrznych. Ten rok budżetowy jest takim, że nie mogę sobie pozwolić na większe realizacje nowych

przedsięwzięć, bo należy dokończyć te, które zostały rozpoczęte, a na nie są wydatkowane spore środki. Na kolejny rok budżetowy będę chciał też by były realizowane takie inwestycje, które będą przynosiły gminie dochody. Oczywiście drogi będą dalej remontowane i już przygotowujemy kolejne dokumentacje. Uważam, że projektowo musimy być gotowi, aby startować o pozyskanie środków zewnętrznych, gdy będzie taka możliwość. Można powiedzieć, że urząd pracuje i spełnia swoje zadania oraz, że nie było tutaj żadnego zachwiania związanego ze zmianą wójta. Oczywiście jeszcze chwilę musi potrwąć, aż pracownicy mnie poznają i odwrotnie.

Pana komitet wyborczy nie uzyskał w niej większości. Jak patrzy pan na współpracę z Radą Gminy?

Z mojego komitetu weszło tylko pięciu radnych. Z komitetu mojego kontrkandydata – siedmiu, ale od początku nie angażuję się w naciskanie czy układanie koalicji. Co nie znaczy, że nie interesuję się tym, co się dzieje w Radzie Gminy. Jako wójt – robię „swoje”. Radni mają prawo do tego, aby mieć swoje zdanie. Myślę, że „bańka” emocjonalna już pękła i radni rozumieją, że musimy razem współpracować. Wiem, że jest kilku radnych, których nie przekonałem do siebie, ale to jest naturalne w samorządzie. Szanuję ich odrębność i nic na siłę nie będę robił. Moją wizytówką będzie wykonywana praca. Nie będę robił żadnych podziałów, czy patrzył: „Kto, od kogo”. Jeśli jest potrzebna dana inwestycja i przyjdzie do mnie radny lub sołtys i powie o danym problemie, to będę wysłuchany. Nie interesuje mnie przeszłość. Odkreślam ją grubą kreską. Radny, sołtys mówi w imieniu mieszkańców. Liczę, że szybko wszyscy zrozumieją, że mamy być jednością i działać wspólnie dla dobra Małej Ojczyzny, którą jest Gmina Sławno. Po to startowałem w wyborach samorządowych. ©©

POGODA NA WEEKEND

Piątek

25°C
15°C



Wiatr pld.-zach. 18 km/h

Uwaga
Zachmurzenie zmienne, bez opadów

Sobota

21°C
17°C



Wiatr zach. 29 km/h

Uwaga
Zachmurzenie zmienne, niewielki deszcz

Niedziela

21°C
15°C



Wiatr zach. 33 km/h

Uwaga
Zachmurzenie zmienne, niewielki deszcz

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00

KURSY WALUT

08.08.2024

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48,
Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego,
Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

		Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska
EUR	428/435 (-)	EUR 428/435 (-)
USD	392/399 (-)	USD 392/399 (-)
GBP	498/505 (+)	GBP 498/505 (+)
CHF	456/464 (-)	CHF 456/464 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY

„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem:
lukasz.kamasz@polskapress.pl

Łukasz
Kamasz



DOŁĄCZ DO NAS RUSZAMY Z PROJEKTEM NASZE DOBRE Z POMORZA 2024

Pokażemy najlepsze produkty i usługi, jakie mamy na Pomorzu

Danuta Strzelecka
d.strzelecka@prasa.gda.pl

Rozpoczynamy 1. edycję Nasze Dobre z Pomorza. To akcja, w której będziemy prezentować i nagradzać firmy, które dzięki biznesowej działalności są wizytówką naszego regionu. Chcemy promować produkty, które stworzono u nas, na Pomorzu. Czekamy na zgłoszenia firm zainteresowanych udziałem w Nasze Dobre z Pomorza 2024.

Startujemy z 1. edycją akcji Nasze Dobre z Pomorza. W tym roku jest ona wyjątkowa, bowiem będzie to pierwsza edycja łącząca ze sobą Dziennik Bałtycki i Głos Pomorza. Mamy nadzieję, że Wam się spodoba. Nasz projekt ma długą tradycję wywodzącą się z województwa zachodniopomorskiego. Pierwsza edycja Nasze Dobre była zorganizowana w 2008 roku w województwie zachodniopomorskim. W dotychczasowych piętnastu odsłonach tamtejszej akcji wzięło udział 730 lokalnych przedsiębiorstw. To była idealna okazja na zaprezentowanie w mediach regionalnych firm, a ponad sto z nich otrzymało prawo do posługiwania się znakiem jakości „Nasze Dobre”. Swoje głosy oddało ponad 382 tys. Czytelników. Projekt cieszący się każdego roku większym zainteresowaniem oraz powodzeniem, w tej edycji zostaje rozszerzony na zasięg również całego województwa pomorskiego. Chcemy na Pomorzu osiągnąć, to udało się w zachodniopomorskim! Redakcja Dziennika Bałtyckiego



i Głosu Pomorza zapraszają przedsiębiorców, firmy i instytucje do 1. edycji Nasze Dobre z Pomorza. Jak wiadomo naszym Czytelnikom, rozwój życia gospodarczego regionu to jeden z naszych redakcyjnych priorytetów. Na łamach naszych gazet i w serwisach internetowych od lat przybliżamy i promujemy przedsiębiorstwa, które związane są z Pomorzem i które zdecydowały się inwestować w tę część kraju. W publikacjach redakcyjnych opisujemy sukcesy małego, średniego i dużego biznesu z Pomorza. Promujemy innowacyjne rozwiązania, prezentujemy laureatów nagród, chwalimy dobrych pracodawców. Projekt Nasze Dobre z Pomorza to największe medialne i promo-

cyjne przedsięwzięcie, które będzie prezentować dorobek gospodarczy naszego regionu. Akcja, jak pokazały edycje z zachodniopomorskiego, z roku na rok zdobywa coraz większe uznanie wśród przedsiębiorców, dla których znak jakości „Nasze Dobre” jest symbolem uznania i zaufania konsumentów. My chcemy promować atrakcyjne produkty, które stworzono u nas, na Pomorzu. Dlatego w Nasze Dobre z Pomorza mogą wziąć udział tylko podmioty gospodarcze zarejestrowane lub mające oddziały na terenie województwa pomorskiego a ich produkt jest wytwarzany w tym województwie.

1. edycja Nasze Dobre z Pomorza to świetna okazja do po-

kazania tych podmiotów, których dotychczasowy dorobek jest często rozpoznawalny na całym świecie.

W tegorocznej edycji wyróżnimy firmy z Pomorza w 12 kategoriach:

- technologie i innowacje,
- budownictwo, inwestycje i nieruchomości
- pracodawca,
- motoryzacja,
- zdrowie, uroda i turystyka,
- handel i usługi,
- ochrona środowiska,
- gospodarka morską i logistyką,
- IT,
- energetyka,
- producent żywności,
- sektor publiczny.

Znaki jakości NASZE DOBRE przyznawane będzie kapituła,

w której skład wchodzi osoby zaufania publicznego, specjaliści z dziedziny jakości, marketingu, przedstawiciele mediów. Ponadto przyznana zostanie Nagroda Publiczności. Otrzyma go produkt lub usługa, która zdobędzie największe wsparcie konsumentów.

Ważne daty akcji

Zgłoszenia do udziału w akcji przyjmujemy do 13 września 2024 r. Od 2 września będziemy prezentować zgłoszone produkty i usługi. Od 19 do 30 września trwać będzie głosowanie SMS. Wraz z końcem września i początkiem października wydamy dwa specjalne dodatki „Nasze Dobre z Pomorza 2024”, które zostaną dołączone do maga-

zynowych wydań Głosu Pomorza (emisja 20 września) i Dziennika Bałtyckiego (emisja 4 października).

Zaprezentujemy w nich wszystkie zgłoszone produkty i usługi. Artykuły opublikujemy również w największych serwisach informacyjnych w regionie - dziennikbałtycki.pl i gp24.pl.

Po publikacjach kapituła konkursu przyzna tytuł Nasze Dobre z Pomorza 2024 w każdej z 12 kategorii. Oficjalne ogłoszenie wyników i wręczenie prestiżowych statuetek oraz nagród nastąpi 23 października podczas uroczystej gali.

Na zakończenie akcji w Dzienniku Bałtyckim i Głosie Pomorza ukażą się artykuły podsumowujące Nasze Dobre z Pomorza.

Mamy przekonanie, że uczestnictwo w tym ważnym dla gospodarczego życia regionu przedsięwzięciu będzie wsparciem dla Państwa działalności i przyczyni się do postrzegania jako wizytówki województwa pomorskiego oraz atrakcyjne miejsce pracy dla mieszkańców.

Partnerem projektu jest Pomorska Agencja Rozwoju Regionalnego S.A.

Dodatkowych informacji o udziale w projekcie Nasze Dobre z Pomorza 2024, jego przebiegu oraz zasadach udziela: Anna Szczek, tel. 510 026 927, e-mail: anna.szczek@polska-press.pl @

Partner projektu:

POMORSKA AGENCJA ROZWOJU REGIONALNEGO S.A.



Projekt Nasze Dobre ma długą tradycję wywodzącą się z województwa zachodniopomorskiego. Oto laureaci ich edycji z ubiegłego roku



Oficjalne ogłoszenie wyników i wręczenie prestiżowych statuetek nastąpi podczas uroczystej gali



Gałę uświetni muzyczny występ

SZTUM

Rycerze i damy ziemi sztumskiej. Przybliżają to, co odległe. Są jednym z najstarszych bractw rycerskich na Pomorzu. Dzięki nim historię można poznawać inaczej niż w szkolnej ławie. Przeszłość staje się bliższa, gdy biorą ją w swoje ręce rekonstruktorzy. A Bractwo Rycerzy Ziemi Sztumskiej robi to od 30 lat.
STR. 6



FOT. RADOŚLAW KONCZYŃSKI

PRUSZCZ GDAŃSKI

Wszystko szwindel - niegrzeczna sztuka w Faktorii Teatr Wybrzeże przygotowuje na Scenę Letnią w Pruszczu Gdańskim burleskę w 8 scenach. Jest to pędząca w szalonym tempie historia omyłek. **STR. 12-13**

Woda mineralna cenniejsza od szampana, czyli co można znaleźć w morskich głębinach...

- No to chyba mamy ten skarb – stwierdził niedawno Tomasz Stachura, znany trójmiejski nurek, odkrywca wraków, eksplorator głębin. W taki sposób oznajmił nowe odkrycie dokonane w wodach Bałtyku. Odkrycie bardzo ciekawe, i nie jedyne w ostatnich miesiącach...

Tomasz Chudzyński

Pod koniec lipca Tomasz Stachura i inni członkowie Baltictech, pomorskiej grupy nurków, znanych z licznych ekspedycji, nie tylko w wodach Bałtyku, informowali o odkryciu spoczywającego u wybrzeży Szwecji, XIX-wiecznego żaglowca. Statek wypełniony był szampanem, wodą mineralną i winem. Odkrycie wzbudziło niemałą sensację. I wciąż pojawiają się w tej sprawie nowe wątki.

Nie było ich dwie godziny

Do odkrycia żaglowca doszło w pewnym sensie przypadkiem, w czasie wyprawy Baltictechu wokół szwedzkiej wyspy Olandia...

- W drodze z Łeby do szwedzkiej wyspy Olandia sprawdzaliśmy wszystkie pozycje na naszej liście wraków, które otrzymaliśmy od zaprzyjaźnionych hydrograów i rybaków - tłumaczył Tomasz Stachura. Lista taka powstaje od dłuższego czasu i cały czas jest aktualizowana.

Dodał, że wrak, do którego zeszli nurkowie, na początku wydawał się „jednym z najmniej ciekawych”, które mieli sprawdzić.

- Podejrzewaliśmy, że będzie to kuter rybacki, ale zeszliśmy dla świętego spokoju - stwierdził. W slangu nurkowym miała to być tzw. „szybka winda”.

Pod wodę, na głębokość ok. 58 metrów zeszło najpierw dwóch nurków - Marek Cacaj i Paweł Truszyński.

- Nie było ich prawie dwie godziny, więc już wiedzieliśmy, że to coś bardzo ciekawego - powiedział Stachura.

Marek Cacaj i Paweł Truszyński na dnie Bałtyku odnaleźli XIX-wieczny żaglowiec wyładowany butelkami szampana, wina, wody mineralnej i porcelany.

- Widzieliśmy ponad 100 butelek szampana oraz kosze z wodą mineralną w glinianych butelkach. I właśnie ta woda okazała się najciekawsza i naprowadziła nas na dalsze

tropy - tłumaczył przedstawiciel Baltictechu.

Bogaty ładunek, biedny żaglowiec

Wrak żaglowca jest znakomicie zachowany. Nieznane są okoliczności jego zatonięcia, nieznana jest również jego nazwa.

Zdaniem Tomasza Stachury, jedną z przyczyn zatonięcia żaglowca, którego wrak znajduje się ok. 20 mil morskich na południe od szwedzkiej wyspy, mogła być kolizja z inną jed-

nostką - świadczy o tym uszkodzenie dziobu.

- Jeśliby tak się stało, to by pomogło nam w identyfikacji jednostki, bo z reguły takie wypadki są zapisywane - stwierdził odkrywca.

Inną przyczyną zatonięcia mógł być zbyt duży ciężar przewożonego towaru i sztorm na morzu. Przeciążona jednostka mogła przy wyższej fali stracić pływerność i „pójść pod wodę”. Zwłaszcza, że był to niewielki, około 16-metrowy żaglowiec.

- W oczy rzuca się to, że jest on „biedny” w stosunku do ładunku, który ma w ładowniach. Może właściciel statku postawił wszystko na jedną kartę? Może się zapożyczył, kupił ładunek w Kopenhadze i ruszył na północ w stronę Sztokholmu, licząc na interes życia? - zastanawiał się Tomasz Stachura...

Dla kogo cenny napój?

Nurkowie wykonali zdjęcia butelek wody, które przewoził żaglowiec. Jak się później oka-

zała była to niemiecka woda Selters. To jedna z najstarszych wód wydobywanych w Europie, która przez wieki trafiała na najznakomitsze stoły świata. Była bardzo popularna w XX wieku.

- W tych czasach woda mineralna, była traktowana niemalże jak lekarstwo i trafiała tylko na królewskie stoły - podkreślał Tomasz Stachura. - Jej wartość była tak cenna, że transporty były eskortowane przez służby. My na „naszym” wraku natrafiliśmy na około 100 zalakowanych butelek wody Selters. Wytwórnia istnieje do dziś, a jej produkty są nadal uważane za wykwintne.

Dzięki kształtowi stempla i pomocy historyków, wiemy, że transport (odkryty we wraku żaglowca) był wyprodukowany pomiędzy rokiem 1850-1867. Co ciekawe wytwórnia ceramiki, do której rozlewana była woda też istnieje i jesteśmy z nimi w kontakcie, aby dowiedzieć się więcej szczegółów.

To nie wszystko. Kilka dni po pierwszych analizach członkowie Baltictechu dorzucili kolejne informacje o odkryciu.

- Okazuje się, że mógł to być żaglowiec wypełniony towarem dla cara Aleksandra II, a szampan mógł pochodzić z renomowanej wytwórni Roederer, a w zasadzie Louis Roederer, która do dziś słynie z wytwarzania najlepszych szampanów we Francji. Jesteśmy w kontakcie z producentem. Potwierdził on, że w roku 1876 rozpoczęli produkcję szampana specjalnie na dwór carski. Szampan ten musiał być dwukrotnie słodszy



Grupa nurków z Baltictechu w czasie niedawnej wyprawy do szwedzkich wybrzeży



TOMASZ STACHURA / BALTICTECH

Na południe od Olandii polscy nurkowie odnaleźli wrak XVI-wiecznego żaglowca. Wypełniony był on... szampanem, wodą mineralną i winem

od standardowego, bo takie były oczekiwania cara – tłumaczył Tomasz Stachura. I dodał, że nie jest to na pewno koniec śledztwa w sprawie podmorskiego odkrycia u wybrzeży Szwecji.

Co dalej?

Zaznaczmy, wrak spoczywa kilkadziesiąt mil na południe od Olandii, poza polskimi wodami terytorialnymi i ekonomicznymi.

- Jesteśmy w kontakcie z Fundacją Maris, Uniwersytetem Södertörn oraz osobie z profesorem Johan Rönby, który w Szwecji odpowiada za wszystkie badania podwodne. Mamy wytyczne, jak obecnie postępować i móc w przyszłości wspólnie badać wrak – podkreśla Tomasz Stachura.

Kontekst kolejnych badań jest tu oczywisty i był obecny także i w czasie innych ekspedycji Baltictechu, m.in. przy eksploracji wraku jednostek „Karlsruhe”, „Gerrit Fritzen”, „Tiger” czy „Liselotte”, a także organizacji wypraw poszukiwawczych wraku okrętu podwodnego ORP „Orzeł”.

- Takie wyprawy są po prostu bardzo drogie – tłumaczył kilka lat temu w „Dziennik Bałtycki” Tomasz Stachura. Dodał, że nurkowania na duże głębokości są jak „loty w kosmos”. Oczywiście jest także kwestia udziału w kolejnych szwedzkich badaczy wraków – archeologów, muzealników.

- Liczymy na to, że może uda nam się uzyskać sponsora i będziemy organizatorem badania wraku pod patronatem ar-

cheologów szwedzkich – mówi obecnie o badaniu wraku żaglowca Tomasz Stachura.

Co ważne – dwa dni temu władze Szwecji podjęły decyzję o objęciu ochroną prawną wraku statku z XIX wieku, który był badany przez polskich nurków. Oznacza, że zabronione będzie nurkowanie w pobliżu wraku i wchodzenie na jego pokład. - Przedmioty znajdujące się w nim nie będą mogły być wyławiane bez naszej zgody – podkreślił Magnus Johansson, przedstawiciel władzy rządowej w Karlskronie, mieście położonym w południowo-wschodniej części Szwecji. Przyznał jednocześnie, że Wrak żaglowca został pierwotnie zlokalizowany przez Szwedzką Administrację Morską w 2016 roku podczas pomiarów. Wówczas nie było jednak wiadomo, że odnaleziony statek ma tak cenny, dobrze zachowany ładunek. - Wiedza o wraku to zasługa Polaków, którzy pomogli ocenić jego kulturowo-histeryczną wartość – przekazał Johansson Polskiej Agencji Prasowej.

Oszalamiający widok

Jednostka spoczywająca na dnie w okolicach Olandii to nie jedyne odkrycie nurków z Baltictechu w tym sezonie. Potwierdzili kilka innych wraków żaglowców na Bałtyku – jeszcze niezidentyfikowanych. Zeszli również do oszalamiającego wraku żaglowego statku „Maia” (spoczywającego na głębokości 62 metrów), który zatonął na wodach wokół szwedzkiej Olandii w 1901

roku. Zdjęcia z głębin pokazują wrak z pięknie zachowanym mostkiem, z kołem sterowym na rufie.

Nieco innego odkrycia dokonali w czasie wcześniejszego wypadu, w maju tego roku, w okolicach Helu. To szczątki niemieckiego samolotu bojowego z czasów II wojny światowej.

- Legenda głosiła, że koło Helu leży rozbity messerschmitt. Podobno ktoś go już kiedyś znalazł.

Nam od lat nie udało natrafić się na ten wrak, pomimo wielu podjętych prób. Szczście uśmiechnęło się do nas niespodziewanie, kiedy to podczas rekreacyjnych nurkowań ze stypendystami Santi (firma produkująca sprzęt nurkowy – red), postanowiliśmy sprawdzić „coś” co nam narysował nasz sonar. To „coś” okazało się naszym od lat poszukiwanym samolotem.

Jeszcze nie wiemy jaki to model i kiedy został strącony. Może w obronie Helu w 1939, co byłoby fajną historią, a może spadł do morza podczas ćwiczeń lub walk o Hel w 1945 roku.

To jest właśnie wspaniałe w nurkowaniu wrakowym – to odkrywanie historii jeszcze długo po nurkowaniu – zaznaczył Tomasz Stachura.

Eksplorator obiecał więcej informacji o tym wraku podczas Konferencji Baltictech, która ma odbyć się w listopadzie. Szczątki zatopionego samolotu mają zostać również dopisane do listy wraków ogólnodostępnych.

- Leży on naprawdę blisko półwyspu i na pewno warto go odwiedzić – zaznaczał Stachura.



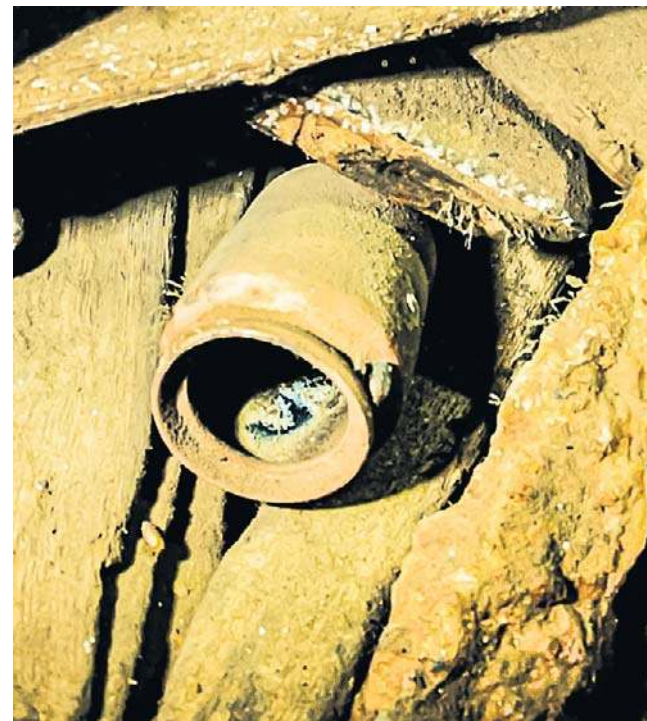
TOMASZ STACHURA / BALTICTECH

Nurkowie Baltictechu w wodach Bałtyku na głębokości ponad 50 m. Optywiają dziób jednego z odnalezionych w czasie wyprawy wraków żaglowców

WARTO WIEDZIEĆ

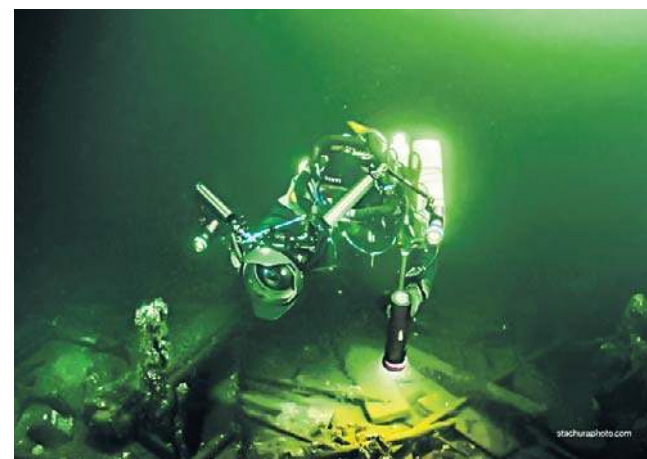
Odkrywczy z Baltictechu

Ekipę Baltictechu w czasie ekspedycji wokół Olandii stanowili Tomasz Stachura, Marek Cacak, Paweł Truszyński, Michał Iwicki, Maciej Honc, Paweł Wilk. Grupę Baltictech tworzy zespół nurków tzw. technicznych (których umiejętności pozwalają im schodzić na duże głębokości). Celem są wspólne wyprawy, odkrywanie i badanie wraków. Baltictech organizuje również konferencje (co dwa lata), które stały się jednym z najważniejszych wydarzeń w kalendarzach nurków technicznych i rekreacyjnych. To doskonała okazja do poznania trendów w branży, nawiązania kontaktów oraz wymiany doświadczeń, ale też poznania rezultatów podmorskich wypraw Baltictechu. - Do tej pory mieliśmy przyjemność gościć 154 prelegentów z całego świata, a w ostatniej edycji wzięło udział ok. 1000 nurków – mówią organizatorzy. Szefem grupy jest Tomasz Stachura, pochodzący z Gdyni nurek, z 40 letnim doświadczeniem w poszukiwaniu i eksplorowaniu wraków. Znany jest z zaangażowania w poszukiwania wraku zaginionego podczas II wojny światowej okrętu podwodnego ORP „Orzeł”.



TOMASZ STACHURA / BALTICTECH

Dobrze zachowane elementy wyposażenia wraku spoczywającego na dnie Bałtyku



TOMASZ STACHURA / BALTICTECH

Jednostka spoczywająca na dnie w okolicach Olandii to niejedyne odkrycie nurków z Baltictechu w tym sezonie

REKLAMA

0011145696



Szczegóły: www.triathlonenergy.pl

CHEŁMŹA • 11 Sierpnia 2024
ZAPRASZAMY!

Zgłoszenia: www.TimeRecords.pl

Partner tytularny:





FOT. Radosław Konczyński

Arkadiusz Dzikowski, założyciel Bractwa Rycerzy Ziemi Sztumskiej przyznaje, że jego rycerska pasja zaczęła się od oglądania filmów kostiumowych

RYCERZE I DAMY ZIEMI SZTUMSKIEJ. Przybliżają to, co odległe

Są jednym z najstarszych bractw rycerskich na Pomorzu. Dzięki nim historię można poznawać inaczej niż w szkolnej ławie. Przeszłość staje się bliższa, gdy biorą ją w swoje ręce rekonstruktorzy. A Bractwo Rycerzy Ziemi Sztumskiej robi to od 30 lat

Radosław Konczyński

W 1242 roku w wielkiej bitwie na zamkniętym jeziorze Pejpus (dzisiaj graniczny akwen między Łotwą a Rosją) stanęły naprzeciw siebie armie zakonu inflanckiego i księcia Nowogrodu Aleksandra Newskiego. Niepełna 700 lat później reżyser Sergiej Eisenstein nakręcił film pt. „Aleksander Newski” (1938), a jako że Polska po II wojnie światowej znalazła się pod butem Moskwy, siłą rzeczy wielokrotnie w czasach PRL pojawiał się na ekranie telewizyjnym. Jako kilkuletni chłopiec właśnie ten film obejrzał

sztumianin Arkadiusz Dzikowski i wtedy pomyślał, że chciałby być rycerzem. Już jako dorosły mężczyzna zrealizował swoje marzenie.

Minęło około 30 lat w moim przypadku, a w Polsce – około 45 lat rekonstrukcji historycznej. Początkowo to była fascynacja nie tyle źródłami historycznymi, do których mało kto mógł dotrzeć i nawet nie zdawał sobie sprawy, że one istnieją – ile fascynacja filmami. Kino miało przemożny wpływ na kształtowanie się pierwszych działań rekonstrukcyjnych w Polsce. „Krzyżacy”, „Braveheart”... – mówi Arkadiusz Dzikowski.

Jest w tym rola Gniewu

Bractwo Rycerzy Ziemi Sztumskiej już od 30 lat zajmuje się odtwarzaniem postaci zakonu krzyżackiego. W pewnym momencie wyspecjalizowało się w okresie 1350-1380, gdy reguła bractw w Gniewie, współtwórcy Kapituły Rycerstwa Polskiego – Jarosława Struczyńskiego.

– Z żoną i przyjaciółmi na początku lat 90. założyliśmy zespół muzyki dawnej i koncertowaliśmy w zamkach podczas

pierwszych turniejów rycerskich. W Gniewie tak nam się spodobał turniej, że pomyślałem sobie, skoro jako dziecko marzyłem o tym, żeby zostać rycerzem, to teraz chciałbym przystąpić do jakiegoś bractwa. Zgłosiłem się do Jarka Struczyńskiego z prośbą, by przyjął mnie do swojej grupy w Gniewie, a on odpowiedział, że przecież w Sztumie są ruiny zamku, więc też mogą założyć bractwo i będziemy współpracować. Z żoną poszliśmy za tą radą i z kilkoma osobami w 1994 roku założyliśmy stowarzyszenie. Tak się ta przygoda zaczęła – opowiada Arkadiusz Dzikowski.

Na początku, zgodnie z wymogami dotyczącej grupy założycielskiej, zebrało się 15 osób. Nie wszyscy byli aktywnymi rekonstruktorami. Ta grupa zaczęła się dość szybko rozrastać i ok. 2008 r. Bractwo Rycerzy Ziemi Sztumskiej zrzeszało ponad 50 członków.

– Po prostu zapisywali się ludzie z różnych miast – m.in. z Tczewa, Nowego Dworu Gdańskiego, Kwidzyna, Trójmiasta. Z czasem staliśmy się tak dużą organizacją i tak rozrzuconą pod względem miejsc zamieszkania członków, że trudno było ją zarządzać. Niektóre z tych osób założyły własne bractwa. Dziś, łącznie z nowicjuszami, mamy 30 osób – mówi Arkadiusz Dzikowski.

Ale ze Sztumu akurat najmniej.

– Najmniej, dlatego że ci, którzy wywodzą się ze Sztumu, przeprowadzili się do Malborka i innych miast, chociaż to są ludzie, którzy albo tu się urodzili, albo tutaj mieszkali w momencie, kiedy bractwo powstawało. Można powiedzieć, że znowu rośniemy w siłę – dodaje założyciel bractwa.

Grunwald i nauka za granicą

Jednym z najważniejszych momentów w dotychczasowej jego historii był pierwszy turniej zorganizowany przez młode wówczas stowarzyszenie.

– Bardzo szybko, bo już w maju 1995 r., zdecydowaliśmy się zorganizować pierwszą imprezę w Sztumie na zamku, ale zamek wtedy leżał w całkowitej ruinie. Dzięki wsparciu władz miasta udało nam się tę imprezę zorganizować i wtedy pomogli nam właśnie bractwo z Gniewu. Oni przyjechali całym autokarem. Nas, sztumiaków, było tylko sześciu i ten turniej się odbył. To na pewno był ważny moment, a później te okrągłe rocznice. Teraz już trzydziesta,

która już robi wrażenie – wspomina Arkadiusz Dzikowski.

Trzeba też wspomnieć o inscenizacjach historycznych, z Grunwaldem na czele, bo odtwarzanie ważnych wydarzeń z przeszłości to kwintesencja ruchu rekonstruktorskiego.

– Nasze bractwo od początku istnienia bierze udział w bitwach grunwaldzkich. Od jakiegoś czasu nie jeżdżę, bo jestem mocno zaangażowany w odbywające się tydzień później Obłężenie Malborka, szczególnie teraz jako pracownik Działu Edukacji Muzeum Zamkowego.

Ale muszę też powiedzieć, że w latach 2002-2016 wiele nam dały wyjazdy zagraniczne. Zwiedziliśmy kawał Europy, bo jako rekonstruktorów zapraszano nas na turnieje i pokazy do Szwecji, Anglii, Holandii, Belgii, Niemiec, Czech, Włoch. Bardzo dużo tam się nauczyliśmy; zobaczyliśmy, jak organizuje się imprezy, na co kładzie się nacisk. To były na pewno bardzo owocne wyjazdy – mówi Arkadiusz Dzikowski.

Bractwo z otwartymi rękami przyjmuje nowych członków.

– Przede wszystkim trzeba mieć skończone 16 lat, ale osoby nieletnie muszą przedstawić zgodę rodziców. Każdy uczestnik bez względu na wiek, gdy do nas przychodzi, najpierw składa deklarację nowicjusza. Dopiero po kilku miesiącach, a niekiedy po kilku latach jest przyjmowany na pełnoprawnego członka. Natomiast od 18 roku życia każdy może brać udział we wszystkich działaniach bez ograniczeń. Może też kandydować do władz stowarzyszenia, w tym zarządu, czyli tzw. kapituły. Egzaminów nie robimy (śmiech), natomiast żeby znaleźć się w naszym gronie i móc z nami działać, trzeba wypełnić pewne wymogi. To są na przykład wymogi dotyczące ubioru, a jeżeli ktoś chce walczyć – dotyczące wyszkolenia i posiadania uzbrojenia ochronnego, o które każdy musi zadbać – wyjaśnia rekonstruktor.

Tak, jak sportowcy trenują regularnie, by zaprezentować się podczas swoich imprez, rekonstruktorzy również muszą ćwiczyć.

– W ciągu roku staramy się spotykać w każdą sobotę. Teraz akurat mamy okres turniejowy, więc to jest bardzo trudne, bo wyjeżdżamy na imprezy albo sami organizujemy wydarzenia. Bardzo często te spotkania przyjmują charakter otwartych szkoleń i warsztatów na przeróżne tematy, dlatego że członkowie bractwa specjalizują się

w różnych dziedzinach, np. w walkach, rzemiośle średnio-wiecznym, czerpaniu papieru, kaligrafii, wykonywaniu przedmiotów z gliny, tańcu itd. Dzielimy się wiedzą z innymi osobami i często jest tak, że właśnie te spotkania mają wpływ na to, że ich uczestnicy potem chcą dołączyć do naszego bractwa – wyjaśnia nasz rozmówca.

Zupełnie nowa jakość rekonstrukcji

Przez te wszystkie lata rycerze i damy ziemi sztumskiej stali się profesjonalistami w odtwarzaniu historii.

– Rzeczywiście, jest to działalność, do której podchodzimy profesjonalnie w sensie zaangażowania i dbałości o szczegóły – opowiada Arkadiusz Dzikowski. – Ruch rekonstruktorski jest już tak dalece rozwinięty i tak wyspecjalizowany, że inaczej nie można brać udziału w imprezach. Nasza wiedza na samym początku była marginalna, dlatego postrzegana jako hobby, w takich kategoriach, że jacyś przebiegawcy biegają i w dodatku okładają się po głowach ciężkimi przedmiotami. Ale z biegiem czasu wiele osób, które weszły do rekonstrukcji, poszło na studia i wybrało kierunki, które były wypadkową tych zainteresowań – czyli stali się historykami, archeologami, konserwatorami, badaczami. Po pięciu czy dziesięciu latach to pokolenie stworzyło zupełnie nową jakość. Oni często już nie uczestniczą w rekonstrukcji, ale korzystając ze źródeł, piszą opracowania, z których następne pokolenia rekonstruktorów mogą korzystać. Bo oni jak gdyby odkryli świat źródeł historycznych dla zwykłych ludzi, którzy chcą bawić się w rekonstrukcję. Te źródła przestały być światem zamkniętym dla wąskiej grupy naukowców.

Rozmowę, której zapis przytaczamy, przeprowadziliśmy w minioną sobotę podczas XV Festiwalu Rycerskiego im. Albrechta Habsburga w Sztumie. Pomysłodawcami i organizatorami tej imprezy są ludzie z bractwa. Wydarzenie przypomina postać austriackiego księcia, który w latach 70. XIV wieku na zaproszenie Krzyżaków wziął udział w wyprawie krzyżowej przeciwko Żmudzinom. Odjeżdżając, w podziękowanie zostawił klejnoty, w sfinansowanie budowy sztumskiej warowni. Przez ostatnie 30 lat bractwo rycerskie jest jej nieformalnym współgospodarzem.

– Zawsze gospodarzem był ktoś inny, albo gmina, albo teraz Muzeum Zamkowe. My jesteśmy obecni tutaj w sensie społecznym, dlatego że główną ideą powstania bractwa było budzenie społecznego zainteresowania zamkiem, żeby jak najbardziej zainteresować środowiska zewnętrzne, które mogłyby pomóc w odrestaurowaniu tej budowli, co zresztą się udało – podsumowuje Arkadiusz Dzikowski.

RUCH REKONSTRUKTORSKI JEST JUŻ TAK DALECE ROZWINIĘTY I TAK WYSPECJALIZOWANY, ŻE INACZEJ NIE MOŻNA BRAĆ UDZIAŁU W IMPREZACH

„Pociąg Marzeń” – to dzięki Wam dzieci spełniają swoje marzenia!

Kolejny już raz ta ogólnopolska akcja organizowana przez Polska Press Grupę wywołała uśmiechy na twarzach podopiecznych wielu polskich fundacji i stowarzyszeń. Dzięki hojności Darczyńców, dzieciaki po raz kolejny mogą spędzić radosne i beztroskie chwile w pięknych miejscach.

Chcielibyśmy podziękować Wam, drodzy przedsięwzięrcy, za to, że dołączyliście do naszej akcji i spełniacie marzenia dzieci, przekazując im realne wsparcie, równoległe dając przykład jako ambasadorzy dobroczynności!

Mecenasem Ogólnopolskim tegorocznej akcji została firma **Skarbiec TFI**, która jest jednym z najdłużej działających towarzystw funduszy inwestycyjnych w Polsce. Towarzystwo wielokrotnie było wyróżniane prestiżowymi nagrodami, w tym za innowacyjność oraz rentowność zarządzanych funduszy. Skarbiec TFI obecnie zarządza aktywami w wysokości ponad 5 miliardów złotych, co oznacza, że jest jednym z największych, niezależnych towarzystw funduszy inwestycyjnych w Polsce. Na koniec marca 2023 Skarbiec TFI miało ponad 93 tysiące aktywnych klientów i obsługiwało ponad 1500 firm i instytucji.

Kolejnym z Mecenasów Ogólnopolskich akcji jest **Beata Drzazga Foundation**, wspierająca seniorów i stawiająca na ich aktywizację, a także udziela wsparcia osobom znajdującym się w trudnej sytuacji życiowej i materialnej, zapewniając pomoc społeczną oraz poprawiając jakość życia osób w trudnej sytuacji zdrowotnej i materialnej. Wspiera także osoby starsze i dzieci pod respiratorem poprzez działania diagnostyczne, lecznicze i rehabilitacyjne. Fundacja angażuje się także w różnorodne działania mające na celu wsparcie rozwoju osobistego i społecznego.

Akcja nie mogłaby ruszyć bez wsparcia przedsiębiorców, którzy regionalnie dołożyli swoje wagoniki:

ZPHU „Jawor” - oferuje meble wykonywane z płyt wiórowych laminowanych, okleinowanych obrzeżem ABS z dodatkowymi elementami naturalnego drewna, metalu i szkła. Firma należy do czołówek krajowych producentów mebli, gwarantując swoim klientom wysoką jakość oferowanych produktów i wykonywanych usług, która jest wynikiem wiedzy i doświadczenia pracowników oraz nowoczesnych maszyn sterowanych numerycznie, a także stosowania wysokiej jakości materiałów produkcyjnych.

Alter Investment - prężnie działająca spółka akcyjna zajmująca się zwiększaniem wartości nabywanych gruntów poprzez wszechstronne przygotowywanie ich do procesu budowlanego, łącznie z projektowaniem architektoniczno-budowlanym oraz uzyskiwaniem ostatecznych pozwoleń na budowę i innych niezbędnych decyzji administracyjnych. Nieruchomości nabywają na terenie całej Polski, a ze szczególną intensywnością w północnej części kraju. Mają wieloletnie doświadczenie w branży nieruchomości.

Max Premium Burgers - firma została założona



w 1968 r. Od 50 lat mają jeden, niezmienny cel - serwować najsmaczniejsze burgery ze składników najwyższej jakości. Burgery to ich pasja! Nieustannie szukają nowych kompozycji. Ich burgery są przygotowywane na Twoje zamówienie, żeby smakowały najlepiej.

Port Rumia Centrum Handlowe Auchan - to przyjazne miejsce zakupów dostosowane do potrzeb rodzin z dziećmi oraz osób niepełnosprawnych. Jego ofertę tworzy 80 sklepów i punktów usługowych. Wśród popularnych polskich i międzynarodowych marek odzieżowych i obuwniczych, drogerie, księgarnia oraz salony wyposażenia i aranżacji wnętrz. Port Rumia Centrum Handlowe Auchan jest również dogodnym miejscem spotkań i rekreacji.

GBT Sp. z o.o. - Gdański Terminal Masowy koncentruje się na przeładunku masowych towarów rolnych, głównie zbóż i śrut. Na nabrzeżu obsługuje się statki o wyporności do 55.000 DWT (niepełnoładowne do max draftu 10,2m). GBT Sp. z o.o. zapewnia obsługę każdego rodzaju środka transportu od kołowego po kolejowy każdego typu.

Dolina Dobra - to marka, która powstała z potrzeby podkreślenia tego, co jest dla konsumentów ważne: pochodzenia z Przechlewa na Pomorzu oraz jakości i smaku produktów. Każdy produkt z portfolio marki to gwarancja wysokiej jakości polskiego mięsa wieprzowego i tylko naturalnych dodatków. Żaden z wyrobów producenta nie zawiera sztucznych wzmacniaczy smaku czy konserwantów. Marka z Przechlewa prowadzi swoją produkcję w modelu „od pola do stołu”, opartym na własnych polach uprawnych, paszach i zakładach przetwórczych, dzięki czemu ma pewność,

że każdy ze składników jest w pełni naturalny oraz najwyższej jakości. Marka bazuje na wieloletnim doświadczeniu swojego producenta, czyli Goodvalley Polska, który w tym roku świętował 30-lecie działalności.

WUŻ Port and Maritime Services Ltd Sp. z o.o. - świadczy usługi portowo-morskie dla polskich i zagranicznych kontrahentów, na terenie Portu Gdańsk. Do podstawowej działalności firmy zalicza się holowania portowe, cumowanie oraz holowania morskie.

Zakłady Mięsne Skiba S.A. - to polska, rodzinna firma z Kaszub, która od ponad 30 lat dostarcza na stoły mięso najwyższej jakości oraz pyszne wędliny. Nasze hasło, „Łączy nas smak”, doskonale oddaje naszą misję - chcemy, aby produkty Skiba jednoczyły ludzi przy wspólnym stole. Kultuwujemy tradycje i wartości rodzinne, dlatego bardzo cieszymy się, że możemy wspierać takie inicjatywy jak ta. Razem celebруем wyjątkowe chwile!

Tartaczna 2 - miejsce na mapie Gdańska oferujące pacjentom usługi medyczne.

JYSK - to międzynarodowa sieć handlowa o skandynawskich korzeniach, która wspiera aranżację każdej przestrzeni domowej, czy ogrodu. Obecnie sieć JYSK obejmuje ponad 3400 sklepów w 48 krajach, oferując bardzo dobrą ofertę dla klientów, niezależnie od tego czy preferują zakupy stacjonarne, czy online. JYSK istnieje w Polsce od 2000 roku. Pierwszy sklep powstał w Gdańsku i tutaj też ma siedzibę biuro główne. JYSK Polska to ponad 300 sklepów większych i mniejszych miastach.

Polpharma - największy polski producent leków.

Aktywnie działają na rynkach Europy Środkowo-Wschodniej, Kaukazu i Azji Centralnej. Polpharma w liczbach: 88 lat historii, 4324 osób zatrudnionych, 5 zakładów produkcyjnych.

Schultz Shipping Sp. z o.o. - to firma zajmująca się kompleksową obsługą agencyjną statków we wszystkich polskich portach. Działają również w transporcie i logistyce. Na rynku polskim są obecni od 2011 r, posiadają biura w Gdańsku i Szczecinie. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu, firma zapewnia wysoką jakość usług. Schultz Shipping stawia na innowacyjne rozwiązania oraz dbałość o zrównoważony rozwój, co czyni ją liderem w branży morskiej logistyki.

Monting Development - to spółka deweloperska, której przyswieca misja, by tworzyć przestrzenie mieszkalne z myślą o bezpieczeństwie, wygodzie i pełnej satysfakcji ich rezydentów. Ich celem jest realizacja projektów wyróżniających się na rynku jakością, zagospodarowaniem terenu. Dążą do tego, aby ich inwestycje były powodem do dumy zarówno teraz, jak i po wielu latach od zakończenia realizacji.

Bright Inventions - to jedno z najbardziej innowacyjnych software studio na polskim rynku IT, które przeniosło już wiele firm na wyższy poziom digitalizacji dzięki nowoczesnym i kompleksowym rozwiązaniom mobilnym oraz webowym. Doświadczony zespół przynosi na stół wiedzę, kreatywność i najnowsze trendy branżowe. Bright Inventions to przede wszystkim drużyna, nie jest to przypadkowa grupa inżynierów, to społeczność złożona z prawdziwych pasjonatów współpracujących ze sobą od wielu lat.

Pomorski „Pociąg Marzeń”, organizowany przez Dziennik Bałtycki, pomoże w sfinansowaniu wyjazdu dla podopiecznych **Fundacji Hospicyjnej**, która zabierze dzieci, objętych wsparciem **Funduszu Dzieci Osieroconych** na wakacyjny obóz na Mierzei Wiślanej. Znanej i wiarygodnej organizacji, z dużym doświadczeniem we wspieraniu potrzebujących dzieci. Prowadzony przez **Fundację Hospicyjną Fundusz Dzieci Osieroconych** na co dzień organizuje grupy wsparcia dla opiekunów zastępczych, szkolenia i warsztaty dla opiekunów i rodziców, bezpłatne poradnictwo w rodzinie, zajęcia dla dzieci osieroconych. W miarę możliwości wspiera też finansowo leczenie, terapię, rehabilitację i edukację. Do tej pory pomoc uzyskało ponad 9 500 podopiecznych. **Wyjazd pozwoli zbudować małym podróżnikom piękne wspomnienia oraz poddać się beztrosce lata. Radość i szczęście widoczne na ich twarzach to najbardziej wartościowy efekt naszej akcji - „Pociąg Marzeń”.**

DZIĘKUJEMY ZA WSPARCIE!

ORGANIZATOR AKCJI

Dziennik Bałtycki

MECENASI OGÓLNOPOLSCY

SKARBIEC

BEATA DRZAZGA FOUNDATION

DO WYJAZDU DZIECI SVOJĄ CEGIEŁKĘ DOŁOŻYLI

Jawor

ALTER INVESTMENT

MAX Premium Burgers

PORT RUMIA

GBT

DOLINA DOBRA

WUŻ

Fundacja Hospicyjna

Skiba

polpharma

TARTACZNA 2

JYSK

Schultz Shipping

MONTING DEVELOPMENT

FUNDUSZ DZIECI OSIEROCONYCH TUMBO POMAGA

Pomorzanie w bitwie warszawskiej 1920 r. Bolszewika pobili swoim pułkiem

Ponad sto lat temu tysiące ochotników ruszyło do walki z czerwonoarmistami pod Warszawą. Pomorzanie też odegrali niebagatelną rolę w zmaganiach z najeźdźcą ze wschodu - sformowali własny pułk piechoty i walczyli w Armii Ochotniczej

Piotr Piotrowski

Mowa o nieistniejącym już dziś 66 Kaszubskim Pułku Piechoty, który w czasie letniej batalii 1920 r. stoczył bitwę pod Bobrujkami. Żołnierze z Kaszub rozbili wówczas bolszewicki 216 pułk im. Włodzimierza Lenina. Następnie kaszubska jednostka wzięła udział w bitwie warszawskiej, atakując znad Wieprza. Jego początki sięgają powstania wielkopolskiego kiedy to powstańców zasilali przedzierający się z Kaszub ochotnicy chcący bić się z Niemcami. Z tych ochotników w październiku 1919 r. zaczęto formować kaszubski pułk strzelców pomorskich, nad którym osobisty patronat objął Naczelny Wódz Józef Piłsudski. Pułk ten w styczniu i lutym 1920 r. przejmował od Niemców przyznaną Polsce na mocy traktatu wersalskiego część Pomorza. Nim do tego doszło,...

...najpierw Kaszubi „poszli za Kaisera”.

Czas I wojny światowej na Kaszubach to tragiczna historia powołań do niemieckiej armii cesarskiej. Wielu mężczyzn z Pomorza straciło w walkach życie na wszystkich frontach tej wojny, wielu dopiero po latach wróciło do domów, uznani za zaginionych wracali z zachodu lub terenów Rosji Sowieckiej. W odróżnieniu od terenów centralnej Polski, droga do niepodległości Pomorza była dłuższa i okupiona krwią. Na Pomorzu nie podjęto walki zbrojnej z Niemcami. Komisariat Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu stanowczo zakazał wszelkich wystąpień zbrojnych na terenach kaszubskich. Kaszubi jednak włączyli się w wielkopolski zryw - do armii powstańczej przetrucano ochotników przez Organizację Wojskową Pomorza oraz Kaszubów służących w pułkach toruńskim, grudziądzkim. Z nich ukształto-



Żołnierze pułku w 1935 r. w Chełmnie

wał się załazek bohaterskiego 66. Kaszubskiego Pułku Piechoty im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

Pułkownik Stanisław Skrzyński, dowódca Ochotniczej Dywizji Strzelców Pomorskich, rozkazem nr 30 z dnia 8 października 1919 r. nakazał formowanie kaszubskiego pułku strzelców pomorskich. Organizację pułku dowódca dywizji powierzył porucznikowi Leonowi Kowalskiemu - przyszłemu staroście kartuskiemu, kościerskiemu oraz świeckiemu. Kowalski, w towarzystwie zastępców dowódcy pułku, z ppor. Kamińskim oraz ppor. Hofmanem przybył do koszar w Poznaniu na Jeźcach 15 października.

Organizacja pułku postępowała bardzo szybko - już tydzień później w skład pułku wchodziły cztery kompanie kadrowe: I kompania pod dowództwem ppor Hofmana, II kompania chorążego Knorra, III kompania sierżanta Jana Hirsza, IV kompania sierżanta Woyke. Zarówno kadra jak i szeregowi pochodzili z Kaszub, Kociewia i Pomorza. Wspólnota pochodzenia i głęboki patriotyzm zespoliły wewnętrznie pułk, czyniąc go odpornym na ciężkie i zmienne koleje wojny. Od pierwszych dni swego istnienia pułk nosił nazwę Kaszubskiego Pułku Strzelców Pomorskich. 24 października 1919 r. przybyła do Naczelnika

Państwa Józefa Piłsudskiego delegacja ziemi kaszubskiej z prośbą, by przyjął kaszubski pułk pod swoją opiekę. Po wręczeniu petycji w imieniu delegacji przemówił sierżant Jan Hirsz. Mówiąc w języku kaszubskim zapewnił Naczelnika Państwa: „Mė Kaszėbi, wprzėk dħdźi, prėsczi niewolė i ősoblė wi starė cėzėch, nie delė mė leźnotė do zniemczeniō. Mė wiedzio bėlė Pōlakama. Mė Kaszėbi gōrzącym sercā kōchōmėnājā Pōlskā Ōjcėznā. Najė sparłāczeniė z Ōjcėznā - Pōlskā pōkōżemė w biōtce.”

Marszałek Piłsudski zgodził się na przyjęcie szefostwa pułku. Ciekawostką jest, że do 1921 r. w pułku służyli wyłącznie kaszubszy kawalerowie - niczym Szwajcarzy w Gwardii Papieskiej.

Kłeska bolszewickiej elity bojowej

18 stycznia 1920 r. pułk wkroczył do Torunia. Na początku marca 1920 r. pułk otrzymał nazwę 66 Kaszubski Pułk Piechoty im. Marszałka

Józefa Piłsudskiego. 3 czerwca 1920 roku pułk wyjechał na front litewsko-białoruski. Wchodząc pod Duksztami w skład świeżo sformowanej armii rezerwowej. W tym okresie organizowano na Kaszubach pułkowe odwody - Baon Ochotników Kaszubskich, do którego masowo wstępowała kaszubska młodzież. Wkrótce pułk został przerzucony na Polesie. 26 czerwca na pułk, stojący na pozycji nad rzeką Udyrtwą, pod wsią Bobrujski, wytywał 216 pułk imienia Lenina.

Wywiązała się krwawa i zacięta walka, która trwała bez przerwy cały dzień. Parokrotnie Kaszubi przeciwuderzali, używając granatów ręcznych. Ostatecznie rozbili Rosjan. Było to historyczne zwycięstwo - pułk im. Lenina został rozbity przez kaszubski pułk im. Józefa Piłsudskiego. Uznano to za dobry omen. Pułk odnosił wiele znaczących zwycięstw. Był kierowany na najtrudniejsze odcinki frontu. Dzień pierwszego zwycięstwa Kaszubów

nad bolszewikami - 26.06.1929 został ustanowiony jako dzień Święta Pułkowego.

4 lipca 1920 roku bolszewicy koncentrując nad Berezyną i Autą znaczne siły, przeszli na całym froncie północnym do ofensywy. Przez Naczelne Dowództwo został zarządzone odwrót w kierunku Warszawy. Pułk, osłaniając odwrót swej dywizji, przeszedł chwałebnie trwający ponad miesiąc odwrót. Kilkdniowe boje nad rzeką Tremłą, zdobycie Rzeczyca nad Styrem, zacięte walki na torze kolejowym Kobryń-Zabinka, gdzie otoczony przez nieprzyjaciela pułk wyrąbał sobie dalszą drogę bagnetami - to ważniejsze bitwy tego czasu.

W pierwszych dniach sierpnia Kaszubi walczyli już w obszarze Brześcia nad Bugiem. Najpierw bili się nad rzeką Leśną, a następnie nad Bugiem w okolicy Mokran Starych i Nowych, Kużawki. Walki były bardzo zacięte - Kaszubi dzielnie stawiali opór w obronie, lecz chętniej ruszali do przeciwnatarć, impetu których nieprzyjacieli nie był w stanie powstrzymać.

Bitni Kaszubi

Często się zdarzało, że bolszewicy wiedząc, że mają przed sobą Kaszubów nie podejmowali walki. Ustępowali im pola. 6 sierpnia marszałek Piłsudski podjął decyzję wydania walnej bitwy nad Wisłą. Decydujący cios wojskom rosyjskim idącym na Warszawę i dolną Wisłę miała zadać armia, dowodzona osobiście przez niego. W skład tej grupy wchodził również kaszubski pułk. skutecznie osłaniał przemarsz 16. Dywizji w rejon rzeki Wieprz. O świcie 16 sierpnia 1920 roku pułk przekroczył rzekę Wieprz pod Łysobykami, drugogocząc napotykanego po drodze nieprzyjaciela. Żołnierze maszerowali z takim zapałem i pośpiechem, że już 24 sierpnia do tarli do Łomży. Stąd, w początkach września pułk został skierowany do Kobrynia, a 14 września ruszył do natarcia na Horodec, który był bardzo ważnym rosyjskim węzłem kolejowym na tym obszarze. Jego zdobycie otwierało drogę do zdobycia Mińska. Horodes, leżąc na Kanale Królewskim, zamykał linię komunikacyjną Brześć-Pińsk.

Silna bolszewicka załoga i warunki terenowe czyniły go trudnym do zdobycia.

Naprzeciwko nacierającego kaszubskiego pułku stanęło 7 pułków piechoty, 3 pułki jazdy, 2 pociągi pancerne oraz oddział Chińczyków, którego zadaniem było „podczas bitwy przy pomocy karabinów maszynowych pę-

Dokończenie na str. 10

PUPIL ROKU 2024 UCZESTNICY AKCJI

Łaciate, kudłate, przegowane i skrzydlate. WASZE PUPILE!

Ewelina Żuberek
ewelina.zuberek@polskappress.pl

Nasi Czytelnicy co roku mają wspaniałą okazję, aby pokazać, jak bardzo kochają swoje zwierzątka. Poznajcie bliżej kolejnych uczestników akcji Pupil Roku.

Nasi Czytelnicy co roku mają wspaniałą okazję, aby pokazać, jak bardzo kochają swoje zwierzątka, zgłaszając je do akcji PUPIL ROKU. Tegoroczna edycja trwa i - tradycyjnie już - dostaliśmy mnóstwo zgłoszeń i zdjęć przesympatycznych pyszczków, dziobów, paszczek. Dzięki temu powstała wielka internetowa galeria pupili wszelkich gatunków - w trzech

kategoriach: Pies, Kot oraz Inne Zwierzątko.

Uczestnicy akcji stają się prawdziwymi gwiazdami Facebooka i mają szansę pojawić się na stronach pięknego albumu „Nasze Pupile”, w którym znajdą się zdjęcia zwierzątek z całej Polski. Jest ona prowadzona bowiem w skali całego kraju. A na właścicieli zwierząt czekają m.in. nagrody finansowe i wyjazdy do SPA.

Zwierzęce gwiazdy cieszą ogromną popularnością głosujących, co udowadnia, jak ważną rolę w naszym życiu odgrywają pupile właśnie. Według badań, w co drugim polskim domu mieszka przynajmniej jeden czworonóg. Wybierając domowego pupila, naj-

częściej decydujemy się na psa, wiernego towarzysza w każdej przygodzie, lub kota, prawdziwego mruczącego mistrza od poczynku. Nie brakuje też jednak miłośników mniejszych zwierząt. W naszych domach mieszkają więc chomiki, rybki, węże, pająki, gadające papugi. Jednak niezależnie od tego, czy nasz zwierzątko w lot uczy się nowych sztuczek, aportuje kaptcie czy potrafi „śpiewać” jak w najlepszej operze, to każdy właściciel uważa swojego pupila za wyjątkowego i jedyne w swoim rodzaju. Dla wielu z nas to pełnoprawni członkowie rodziny.

W największej w Polsce akcji adresowanej do właścicieli zwierząt domowych nie może

zabraknąć rankingów usług, z których oni korzystają. Głosami naszych Czytelników zostaną więc przyznane tytuły: Weterynarz Roku, Groomer Roku oraz Sklep Zoologiczny Roku, a także - po raz pierwszy w historii - w kategorii Behawiorysta/Trener Zwierząt Roku.

Nasza akcja to wspaniała okazja do pokazania swojego zwierzątka oraz promocji usług. O jej uczestnikach piszemy w gazecie, internecie, naszych social mediach. Dziś - po raz kolejny - oddajemy głos właścicielom pupili, byście poznali je bliżej.

Więcej o akcji na:
www.dziennikbaaltycki.pl/pupil



Kubek
Ewa Tyborczyk

Kategoria: Pies

Jakie wspólne wspomnienia z Kubkiem wywołują uśmiech na Pani twarzy?

Jest ich wiele i trudno wybrać. Pierwsze spotkanie, wspólne poznanie wybiegu i spacerki, ubieranie choinki i ściąganie bombek - bo jak nie pobawić się wiszącymi piłeczkami? Kubek jest szybki, sprytny i zakupy z toreb nie są do niego nie do zdobycia. Szyneczki otwiera w mgnieniu oka, a i cukiereczki są też dla niego... Łasuch okropny. Pierwsza dłuższa podróż samochodem i pobyt wakacyjny w domku z ogrodem do dyspozycji 24 godziny na dobę.

Dlaczego zdecydowała się Pani na psa rasy jamnik?

Od dziecka chciałam mieć jamnika. Pierwszego otrzymałam jako prezent od dzieci z klasy trzeciej, na zakończenie roku szkolnego, kiedy się z nimi rozstawałam. Ten piesek był ze mną 15 lat. Drugiego - Kubka, wzięłam po 13-tu latach po jego odejściu. Obecny to jamnik miniaturowy. Straszny uparciuszek i żywe srebro. Dziś mija rok, odkąd jest ze mną. Ma skończone 13 miesięcy. To mój mały skarbek.



Dyzio
Aldona Niewińska

Kategoria: Kot

Jak się nazywa Pani kot i co wpłynęło na wybór takiego imienia?

Nazywa się Dyzio. Dyzio - marzyciel, bo lubi bujać w obłokach.

Co najczęściej wywołuje u Pani pupila radość?

U mojego Dyzia najczęściej radość wywołuje zabawa i szaleństwa z dziećmi.

Dlaczego zdecydowała się Pani na kota?

Od dłuższego czasu marzyłam z dziećmi o kociaku. A ten skradł nasze serce od pierwszego spotkania.

Jakie ma Pani najciekawsze wspomnienie z życia swojego pupila?

Dyzio jest młodym kotkiem, wspomnienia dopiero budujemy.

Jak opisałaby Pani osobowość swojego Dyzia? Jaki ma charakter?

Spokojny, ale zadziorny, przyjazny i towarzyski.

Czego według Pani człowiek może nauczyć się od swojego zwierzątka? Wdzięczności, przyjaźni.



Lulu
Kinga Gajewska

Kategoria: Inne Zwierzątko

Czego człowiek może nauczyć się od swojego zwierzątka?

Podam tutaj przykład mojej szczurki, która pomimo swoich problemów z oddychaniem, wciąż ma silną wolę przetrwania. Jest ciekawska i potrafi się cieszyć tak samo jak inne szczurki. Pokazuje ona, że pomimo problemów zdrowotnych wciąż można cieszyć się nawet tymi najmniejszymi rzeczami.

A co najczęściej wywołuje u Lulu radość?

Największą radość u Lulu wywołuje głaskanie jej po główce lub brodzie, kiedy jest zmęczona. Widać jej radość, ponieważ tak jak u wielu szczurków, w chwilach kiedy się cieszy pulsują jej oczy.

Jak lubicie razem spędzać wolny czas?

Lulu nie należy do zwierzątek, które kochają pieszczoty i głaskanie ponad wszystko. Woli chodzić własnymi drogami i zwiedzać cały pokój. Kocham obserwować ją podczas jej codziennych wybiegów razem z jej pozostałymi szczurkami siostrami, zastanawiając się jaki tym razem niedostępny kąt pokoju odkryje.

OTO LIDERZY W POSZCZEGÓLNYCH KATEGORIACH PLEBISYTU PO KOLEJNYM TYGODNIU GŁOSOWANIA.

PIES	
1. Rio, właściciel: Daria Sierła, powiat malborski	
2. Lady, właściciel: Monika Marcinkiewicz, Gdańsk	
3. Maciuś, właściciel: Mateusz Majorke, powiat bytowski	
4. Ludwik, właściciel: Ewa i Jerzy Ludkiewicz, Gdynia	
5. Gonzo, właściciel: Kasia, powiat wejherowski	
6. Majlo, właściciel: Karolina Nowak Dawid Gliński, powiat kościerski	
7. Vinci, właściciel: Adam i Hanna Wrońscy, powiat słupski	
7. Zuzia, właściciel: Iwona Kołodziejczyk, powiat starogardzki	
9. Cirilla, właściciel: Iwona i Daniel Sienicki, Słupsk	
10. Anubis, właściciel: Barbara Cerańska, powiat gdański	
KOT	
1. Fox, właściciel: Konrad Piotrowski, Gdańsk	
2. Pusia, właściciel: Katarzyna Kuryłowicz, Słupsk	
3. Mr.Bean, właściciel: Ilona Jeżewska, powiat człuchowski	
4. Misiek i Berta, właściciel: Iwona Gierczak, Gdynia	
5. Pola, właściciel: Ewa Liedtke, powiat pucki	
6. Fiś i Eepy, właściciel: Sławomir Kluska, powiat gdański	
7. Pusia, właściciel: Daria Manikowska, powiat tczewski	
7. Donia, właściciel: Beata Motyl, powiat wejherowski	
9. Lucuś, właściciel: Daria Suchocka, powiat chojnicki	
10. Zoja, właściciel: Żanetta Filipów, powiat lęborski	
INNE ZWIERZĄTKO	
1. Lulu, właściciel: Kinga Gajewska	
2. Pusia, właściciel: Alicja Michałowska	
3. Chmurka	
4. Hrabia W, właściciel: Sławomir Kozłowski	
5. Alabama, właściciel: Ewa Szurgocińska	
6. Poziomka, właściciel: Krzysztof Sak	
7. Ołaf, właściciel: Julia Ziembicka	
8. Bubuś, właściciel: Katarzyna Kołodziejczak	
8. Tadeusz, właściciel: Monika Maciejewska-Ginter	
10. Buła, właściciel: Agnieszka Słagowska	
10. Emocja, właściciel: Angelina Kupidura	
WETERYNARZ ROKU	
1. Antoni Kraszewski, Przychodnia weterynaryjna, Gdańsk	
2. Agata Januszewska, Przychodnia weterynaryjna Brzoska, Łęgowo	
3. Maria Zajączkowska, Trójmiejska Klinika Weterynaryjna, Gdańsk	
GROOMER ROKU	
1. Krystian Fenske, Fizjo Home Dog, Człuchów	
2. Agnieszka Wiśniewska Salon Bel Cane, Chojnice	
3. Na Psa Urok, Sztutowo	
BEHAVIORYSTA/TRENER ZWIERZĄT ROKU	
1. Rafał Jakimczyk, 3CityDogs, Gdańsk	
2. Patrycja Cholewińska, Pati Dogs Academy, Gdańsk	
3. Waldemar Śledziński, Sfora Gdańska, Gdańsk	
SKLEP ZOOLOGICZNY ROKU	
1. Zoo Yellow, Gdynia, Morska 82	
2. Sklep Zoologiczny Ben, Gdańsk, Długie Ogrody 49	
3. PUPILMARKET Sklep Zoologiczny, Gdańsk, Wyspiańskiego	

Pomorzenie w bitwie warszawskiej 1920 r.

Dokończenie ze str. 8

dzić bolszewicką piechotę do szturmów”.

Walki pod Horodcem trwały 11 dni. Miejscowość parokrotnie przechodziła z rąk do rąk: często walczone bronią białą. Ostatecznie, 24 września 1920 r. Horodec został zdobyty przez kaszubski pułk, po ciężkich i krwawych bojach. Była to ostatnia i największa bitwa pułku w kampanii polsko - bolszewickiej 1920 roku. Zawieszenie broni zastało pułk w Nieświeżu. W całej kampanii, na polu chwały śmiercią walecznych poległo: 2 oficerów i 187 szeregowych. Za dzielność, odwagę i za zasługi bojowe Srebrnym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari V klasy zostało odznaczonych 28, a Krzyżem Walecznych 82 żołnierzy pułku.

Czas pokoju

Po zakończeniu działań wojennych 66. pułk został przeniesiony do Chełmna nad Wisłą i tam zakwaterowany w starych koszarach fry-

decjańskich. Rozpoczęła się pokojowa służba żołnierzy. Przy pułku utworzono szkołę dla niepiśmiennych oraz utworzono towarzystwa rodzin wojskowych i innych stowarzyszeń, pomagającym kaszubskim żołnierzom.

W pułku wprowadzono obowiązki dla kadry z życia towarzyskiego oraz kursy tańca.

Dzięki intensywnemu szkoleniu pułk należał do dobrze przygotowanych do działań bojowych. 15 września 1925 r. gen. Władysław Sikorski zatwierdził odznakę pamiątkową 66. Pułku Piechoty. Odznaka ma kształt ośmiokątnej tarczy z czarnym gryfem kaszubskim na żółtym tle. W otoku granatowym napis „NIGDE DO ZGUBE NIE PRZYŃDĄ KASZUBE”, połączone z czterema powtórzonymi numerami pułkowymi „66” układającymi się w ramiona krzyża, między które wplecione są inicjały Józefa Piłsudskiego „JP”. W planach, na wypadek wojny, miał za zadanie aktywną obronę okolic

Borów Tucholskich oraz Ziemi Chełmińskiej. W 1939 roku, w konfrontacji z dobrze uzbrojonym najeźdźcą pułk przegrał. Ostatni bój stoczył 18 września, w bitwie nad Bzurą.

Żołnierze pułku dostali się do niemieckiej niewoli, część oficerów dostała się także do niewoli sowieckiej i została zamordowana w Katyniu.

Inni przedostali się na zachód licząc na otwarcie pułku. Jednak ze względów politycznych pułk już nigdy nie został odtworzony. Wielu żołnierzy kaszubskiego pułku zasiliło szeregi dywizji gen. Maczka. Spora grupa żołnierzy służyła w polskim oraz francuskim ruchu oporu.

Po wojnie część z nich pozostała na Zachodzie. Wielu wróciło na Kaszuby. Tutaj, Rosjanie nie zapomnieli swych dawnych pogromców. Za służbę w tym pułku sowieci wywozili swych przeciwników sprzed lat na wschód.

Korzystałem z materiałów na portalach: kaszubi.pl i szwajcaria-kaszubska.pl



Odznaka pamiątkowa 66. Kaszubskiego Pułku Piechoty

REKLAMA

0011143333



WYŚLIJ: **GRAM**
POD **7375**
KOSZT SMS: 3,69 ZŁ

Dowiedz się
WIĘCEJ

WYGRAJ

250 000 ZŁ

W WIELKIEJ LOTERII

TELEMAGAZYN

Więcej na: www.loteria.telemagazyn.pl

LOTERIA +18 LAT. ORGANIZATOREM LOTERII JEST PEAKMAKE SP. Z O.O.

Józef Krzyk

Prof. Rafałem Wnukiem, współautorem książki „Nie-złomni czy realiści? Polskie podziemie antykomunistyczne bez patosu”, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Niezłomni czy realiści? Amozę ludzie w sytuacji bez wyjścia? Kim byli członkowie polskiego podziemia antykomunistycznego zaraz po II wojnie światowej?

Poniekąd znaleźli się w sytuacji bez wyjścia, ale w niejednakowym stopniu dotyczyło to poszczególnych osób. Wiele zależało od tego, czy ktoś z nich był gotowy na ucieczkę w prywatność, co oznaczało jednocześnie rezygnację z walki o Polskę suwerenną. Wraz z końcem II wojny światowej członkowie podziemia byli skazani na przegrana, ale przynajmniej na początku mogli wybrać różne drogi. Jedną z takich możliwości była legalna, choć - jak się z czasem okazało - obarczona ryzykiem represji działalność polityczna w mikolajczykowski PSL-u. Drugą drogą była działalność polityczna w podziemiu, a jeszcze inną - walka zbrojna. Wszystkie te formy oporu przeciwko rządowi komunistycznemu w Polsce skończyły się przegraną. W stalinowskiej rzeczywistości żadna forma niepodległościowej aktywności na wygraną nie miała bowiem szans.

Niektórzy liczyli na wybuch III wojny światowej, ale czy rzeczywiście po konferencji w Jałcie ktoś mógł jeszcze wierzyć w to, że Zachód Polski nie zostawi?

Ówczesni Polacy mieli wszelkie powody, by uważać, że świat, w którym przyszło im żyć, jest wysoce niestabilny. Pamiętamy, że żyło wtedy pokolenie, które na własnej skórze doświadczyło różnych dramatycznych zwrotów: dwóch wojen światowych, wojny polsko-bolszewickiej, podpisania i zerwania paktu Ribbentrop-Mołotow, upadku państw zachodnich, a wreszcie upadku „tyśiącletniej” Trzeciej Rzeszy. Ludzie byli więc przyzwyczajeni do tego, że sytuacja polityczna szybko się zmienia i nie ma właściwie nic stałego. To pod wpływem takiego doświadczenia wiele osób podejmowało decyzję o oporze wobec systemu, który uważali za równie niesta-

bilny jak ten, który dopiero co na ich oczach obrócił się w gruzy. Byli przekonani, że nie może być mowy o pokojowym, zgodnym współistnieniu tak biegunowo odmiennych od siebie systemów jak ten, który do Polski został wprowadzony wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej, i tym zachodnim. Już wkrótce miało się okazać, że do konfliktu między tymi dwoma światami rzeczywiście doszło. Nikt się jednak nie spodziewał, że będzie to długa, kilkudziesięcioletnia zimna wojna. Byli jednak tacy, którzy zakładali, że zanim dojdzie do nowej, „gorącej” wojny, oba światy będą potrzebować dłuższego czasu na złapanie równowagi i w związku z tym należy się spodziewać kilku, a może i kilkunastu lat względnego pokoju, więc zbrojny opór przeciwko komunistycznemu rządowi nie ma sensu. Tych, co tak myśleli, nazywamy dzisiaj realistami.

Ale ci, którzy ten opór chcieli stawiać, chyba widzieli, że wraz z upływem czasu od końca II wojny światowej rachuby na szybki upadek systemu się nie spełniły?

Oceniając postawy i zachowanie tych osób, trzeba uwzględnić okoliczności. Przede wszystkim to, że po upadku powstania warszawskiego aż do maja-czerwca 1945 r. poszczególne oddziały podziemia akowskiego nie miały kontaktu z dowództwem. W związku z tym dowódcy tych formacji podejmowali decyzje na własną rękę - jedni o kontynuowaniu oporu, a inni o powrocie do domu. Sytuacja się zmieniała wraz z wycofaniem przez Zachód uznania dla rządu londyńskiego i udzielenia go zdominowanemu przez komunistów Tymczasowemu Rządowi Jedności Narodowej. Obecność w tym gabinecie wicepremiera Stanisława Mikołajczyka, do niedawna szefa rządu na uchodźstwie, sprawiła, że bardzo wielu ludzi uznało dalszą walkę zbrojną za bezsensowną. Znaczna część żołnierzy wyszła z lasów, ale 30 proc. tego nie zrobiło. Jedni dlatego, że wierzyli w powodzenie sprawy, inni zaś, bo nie ufali komunistom. Spośród tych, którzy wyszli z podziemia, wielu tam zo-

stało przez komunistów poniekąd znów wypchniętych. Jedni, bo groziło im aresztowanie, a inni, bo obserwując poczynania rządzących, szybko stracili złudzenia. Jednocześnie jednak podziemie słabło, bo kolejni dowódcy wycofali się z działalności, inni ginęli, a część uciekła na Zachód. W ich miejsce dowództwo nad poszczególnymi, liczącymi nawet kilkaset osób oddziałami obejmowali coraz częściej dwudziestoparolatki, ludzie wychowani przez wojnę, słabiej wykształceni od swoich poprzedników i ze słabszym kręgosłupem moralnym, więc słabła dyscyplina.

To przez to władze dostały argument do nazywania podziemia „bandami”?

W propagandzie komunistycznych władz „bandami” nazywano akowców już dużo wcześniej. Przyspieszyła za to brutalizacja - i to z obydwu stron. Niektórzy członkowie podziemia żyli nadzieją, że komunistów uda się odsunąć od władzy przy urnie do głosowania. Okazało się jednak, że wybory z 19 stycznia 1947 r. zostały sfałszowane. Komuniści nie zamierzali bowiem liczyć się z wolą społeczeństwa. W tym właśnie momencie załamała się wiara wielu ludzi w szybkie zwycięstwo nad nowym reżimem, a gwoździem do trumny dla podziemia stała się ogłoszona miesiąc później - 22 lutego 1947 r. - amnestia. Wkrótce potem w podziemiu pozostały tylko jednostki i nieduże grupy, które stopniowo były wyławiane i rozbijane.

Tych, którzy w podziemiu wytrwali, dziś niektórzy chcieliby przedstawiać wyłącznie w dobrym świetle i nazywać „żołnierzami wyklętymi”. Czy to trwanie rzeczywiście może służyć za podstawę do oceny moralnej i politycznej?

Moim zdaniem to nie jest obiektywny miernik, chociażby z tego powodu, że część z tych, którzy wytrwali najdłużej, wcale nie zamierzała tego robić. Przykładem może być Stanisław Marchewka, ostatni oficer podziemia akowskiego, który zginął z bronią w ręku. Zanim do tego doszło, Marchewka, który miał na koncie udane



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ataki na posterunki i konwoje milicyjne w Grajewie, Łomży czy Szczuczynie, już w styczniu 1946 r. wyszedł z konspiracji. Wrócił do niej cztery lata później w obawie przed aresztowaniem, a zginął 4 marca 1957 r. Nieco krócej, do śmierci w 1954 r., w podziemiu wytrwał jego dowódca, a zarazem szef Inspektoratu Łomżyńskiego AK Jan Tabortowski. Wcześniej jednak skorzystał z amnestii 1947 r. i próbował ułożyć sobie normalne życie. To długie trwanie w podziemiu nie było więc kwestią ich wyboru, co oczywiście ich zaangażowania i twardości nie umniejsza. Analizując losy różnych osób, doszedłem do tego, że o tym, kto wytrwał najdłużej, decydowały indywidualne, nieoczywiste predyspozycje. Trzeba było umieć zerwać wszystkie kontakty rodzinne, bo ludzie kontaktujący się z bliskimi byli mocno narażeni na wpadkę. Ważna była również umiejętność trzymania języka za zębami. Nie wolno było zdradzić się, kogo się zna, gdzie zamierza się pójść i co zrobić. Konieczne było także żelazne zdrowie. Bez tego ostatniego nie było mowy, by przeżyć w leśnej jamie lub wilgotnym bunkrze, z lichym wyżywieniem, bez dostępu do leków i lekarza. Przeciętny człowiek w takich warunkach nie jest w stanie przetrwać nawet kilku tygodni, a niektórzy spędzili tak kilka lat.

Czy nazywanie tych osób „żołnierzami wyklętymi” trafnie oddaje ich los? Dlaczego głośno o tych osobach stało się dopiero w ostatnich latach?

Określenie „żołnierze wyklęci” w moim przekonaniu nie opisuje rzeczywistości, tylko ją wykrzywia. Po pierwsze, wielu działaczy antykomunistycznego podziemia nie uważało się za żołnierzy, tylko działaczy politycznych. Po drugie, należy sobie zadać pytanie, przez kogo zostali oni wyklęci. Według części zwolenników tego określenia - przez komunistów. Nie widzę powodu, by patrzeć na podziemie przez komunistyczne okulary. Inni twierdzą, jakoby to podziemie „wyklęła” powstała po 1989 r. wolna Polska. Takie podejście uważam za tyleż niemądre, co głęboko nieprawdziwe. Jest wręcz przeciwnie, dopiero w niepodległej III RP mogły się rozwinąć badania nad antykomunistycznym podziemiem. Po trzecie, określenie „żołnierze wyklęci” sugeruje, jakoby chodziło o wspólnotę wartości, czy wręcz jednolitą organizację. Tymczasem na powojenne podziemie składały się grupy i organizacje o bardzo zróżnicowanych programach, odmiennych profilach ideowych, ostro ze sobą rywalizujące, niekiedy zwalczające się z bronią w ręku. Nie istniała żadna organizacyjna czy polityczna „wyklęta” wspólnota. Jeśli zaś chodzi o obecność tego podziemia w naszej historii, to trzeba sobie jasno powiedzieć, że od połowy lat 40. obowiązywała doktryna, iż władzy ludowej sprzeciwiała się wyłącznie drobna grupka fałszywów i ludzi zwiedzionych, a komuniści doszli do władzy dzięki powszechnemu poparciu. Historycy o powojennym oporze nie pisali, można było co najwyżej w „tygrysach” przeczytać coś o bandytach i reakcjonistach, bo tak wówczas nazywano ludzi podziemia. Nawet na emigracji pierwsze opracowania dotyczące tego tematu zaczęły się pojawiać dopiero w latach 80. Wiele zmieniła dopiero postawa ludzi zaangażowanych w trakcie stanu wojennego w solidarnościowe podziemie. Niektórzy z nich zaczęli bowiem traktować członków podziemia antykomunistycznego jako swoich poprzedników - tych, którzy realizowali te same wartości: antykomunizm i służba niepodległej Polsce. Dopiero jednak po przełomie 1989 roku poja-

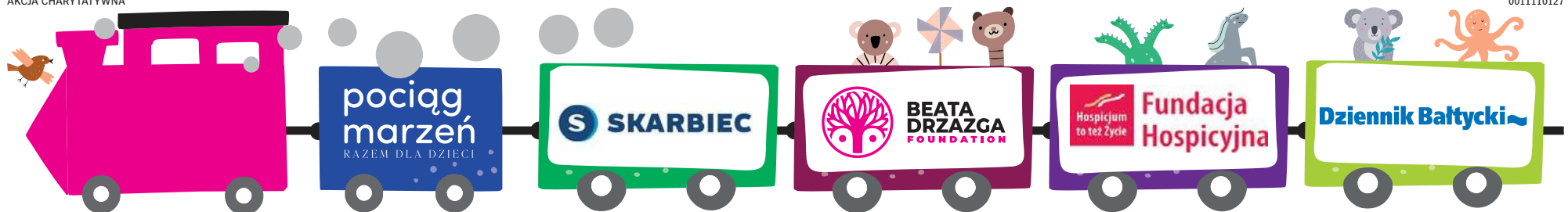
wiła się możliwość poważnych badań naukowych, choć na początku tym zagadnieniem zainteresowana była tylko garstka historyków. Kolejny przełomowy krok to powstanie IPN, bo pojawiła się szansa na dostęp do archiwów bezpieki. Gdy zaś działalność antykomunistycznego podziemia powojennego została wpisana do lansowanej przez prawicę polityki historycznej, nastąpił prawdziwy wysyp artykułów i książek. Wraz z postępem badań okazało się jednak, że obraz wydatków i uczestniczących w nich ludzi jest bardziej skomplikowany. Nie da się chociażby obronić pokazywania całego antykomunistycznego podziemia jako heroicznych bojowników bez skazy i nie chodzi tylko o relacje z mniejszościami narodowymi. O tych „skazach na pancerzach” pisał na przykład Piotr Zychowicz. Antykomunizm podziemia powojennego okazał się jednak atrakcyjnym mitem dla części politycznego spektrum. Pod koniec pierwszej dekady XXI w. ten temat został odkryty przez świat polityki jako swego rodzaju opowieść tożsamościowa i zaczął być coraz ważniejszy dla polityków, a nie tylko dla naukowców. W 2015 r. stał się zaś częścią oficjalnej polityki państwa. Chodziło o dowodzenie, że to właśnie te osoby, które po wojnie walczyły zbrojnie z komunistyczną władzą, zachowały się właściwie. Nastąpiła instytucjonalizacja, a z drugiej zaś strony - instrumentalizacja opowieści o podziemiu. Do dziś z czymś takim mamy do czynienia.

Co składa się na tę opowieść?

Przede wszystkim dwa elementy, według których podziemie antykomunistyczne było jednością i że to była walka zbrojna. Oba te założenia są nieprawdziwe - podziemie antykomunistyczne wcale nie było jednością, a walka zbrojna była tylko jedną z możliwych postaw reprezentowanych przez tamtych ludzi. Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość powstało jako organizacja, która miała być w założeniu niewojkowa, a na jakieś 100 tys. ludzi, którzy przez podziemie powojenne się przewinęło, w lesie z bronią w ręku w ręku walczyło zaledwie 20-22 tys. Mit żyje już jednak własnym życiem i są takie osoby, które nie chcą przyjąć wiedzy, która ten mit mogłaby naruszyć. PAP

AKCJA CHARYTATYWNA

0011110127



WSZYSTKO SZWINDEL - NIEGRZECZNA SZTUKA WKRÓTCE W FAKTORII

Teatr Wybrzeże przygotowuje na Scenę Letnią w Pruszczu Gdańskim burleskę w 8 scenach. Jest to pędząca w szalonym tempie historia omyłek, w której wątek miłosny i kryminalny wzajemnie się dopełniają i przeplatają. Dwoje młodych ludzi spotyka się i zaczyna sobą fascynować, choć każde z nich podaje się za kogoś innego. Ale ostatecznie, jakie ma znaczenie, jak to wszystko się skończy i kim naprawdę są ci młodzi ludzie, skoro i tak to „wszystko szwindel”? Przedstawienie już w przyszłym tygodniu, a my dziś rozmawiamy z reżyserem sztuki Pawłem Aignerem

Grażyna Antoniewicz

Dość często zdarza się, że dyrektorzy wychodzą z propozycją tytułu, a tym razem...

To ja zaproponowałem niemiecką sztukę „Alles Schwindel” („Wszystko szwindel”) z 1929 roku. Powstała ona na podstawie libretta Marcellusa Schiffera z muzyką Mischy Spoliansky'ego. Natrafiłem na nią poprzez Teatr Maxima Gorkiego w Berlinie, który wystawił ją w 2017 roku. To była pierwsza realizacja tej sztuki od dnia premiery, czyli od pierwszego przedstawienia, które się odbyło w 1931 roku, tuż przed dojściem Hitlera do władzy.

Znakomity czas dla teatru...

Nie widziałam tego przedstawienia z 2017 roku, ale niemieckie recenzje bardzo mnie zainteresowały. Ponadto mieszkam w Białymstoku, a Mischa Spoliansky urodził się w tym mieście jako syn Polki oraz rosyjskiego śpiewaka operowego pochodzenia żydowskiego. Kiedy w Białymstoku nasiliły się nastroje antysemickie uciekł z rodzicami do Warszawy. Potem do Berlina - miasta otwartego na inność, miasta wspaniałego, pełnego kabaretów, nocnego życia, wolności także tej seksualnej. Trzeba pamiętać, że był to okres, w którym Magnus Hirschfeld otworzył swój uniwersytet seksuologii, więc też to całe tło społeczne



Paweł Aigner: Ta premiera pruszczańska będzie moim zdaniem niezwykłą, także dlatego, że aktorzy grają pod gołym niebem. Tylko jednej rzeczy się boję... deszczu. No i przede wszystkim nagłośnienie musi być bardzo dobre

miał ogromny wpływ na mój wybór.

Kiedy zaproponował pan dyrektorowi Orzechowskiemu tekst - jaka była jego reakcja?

Zdarzyła się rzecz wspaniała, bo niemalże następnego dnia dyrektor zlecił wstępne tłumaczenie tego tekstu Iwonie Nowackiej i ona błyskawicznie, po paru tygodniach przedstawiła nam tłumaczenie dwóch scen. Musieliśmy się zorientować czy to

w ogóle wchodzi w grę zrobienie tego spektaklu. Wkrótce Piotr Klimek, na podstawie aranżacji z lat trzydziestych, zrobionych z wyciągu fortepianowego, stworzył nową partyturę. Okazało się, że w przedstawieniu pełno jest wspaniałych songów w stylu Brechta i Kurta Weilla, skomponowanych z pazurem wspaniałych melodii. Te piosenki dzięki tłumaczeniu Michała Chłodzińskiego nabrały nowego, poetyckiego życia.

Jest to przedstawienie duże, muzyczne, pełne rozmachu inscenizacyjnego, które grać będziecie na niewielkiej scenie w Pruszczu Gdańskim.

Tak, ale ten sam spektakl przeniesiemy potem na Dużą Scenę w Gdańsku, wykorzystując niektóre sztuczki, które dają nam teatr po remoncie i gdzie możemy skorzystać z bardzo sprawnych zmian dekoracji, więc w kilku miejscach będzie się ono odrobinę różniło długością niektórych scen, pew-

nymi akcentami, ale nie wpłynęło to zupełnie na jego odbiór.

Muszę powiedzieć, że nie mogę się doczekać premiery pruszczańskiej, dlatego że jest tam specyficzna atmosfera. Myślenie o tym miejscu wpłynęło też na moje postanowienia scenariuszowe - dzisiaj jeszcze pewne sceny na nowo analizowałem i nowe akcenty wysłałem do aktorów. Ta premiera pruszczańska będzie moim zdaniem niezwykłą, także

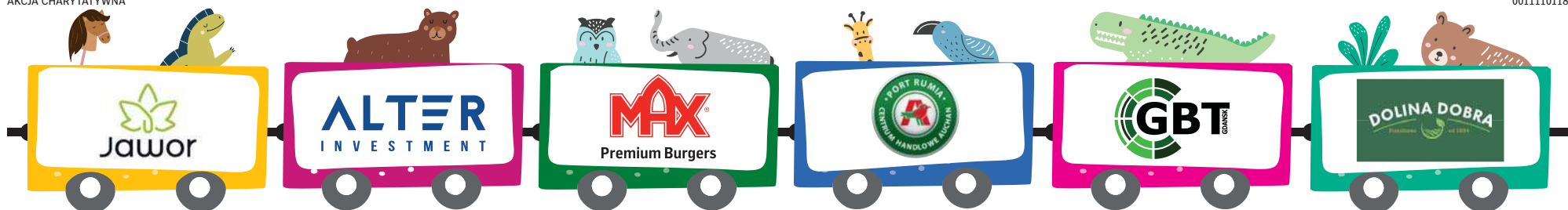
dlatego, że aktorzy grają pod gołym niebem. Tylko jednej rzeczy się boję...

Czy nie spadnie deszcz?

Tak, boję się deszczu, ale przede wszystkim nagłośnienie musi być bardzo dobre. Muzycy będą grali na żywo, to jest orkiestra siedmioosobowa. Typowy, klasyczny band tamtej epoki: trąbka, fortepian, perkusja, kontrabas...

Zawsze niezwykle ważna dla pana jest scenografia...

Teraz zaprojektowała ją Magdalena Gajewska, a grupa Mixer stworzyła kostiumy. „Wszystko szwindel” nie jest klasyczną burleską, tylko lekką komedią, trochę w rodzaju variété. Przed wojną w głównej roli występowała wybitna gwiazda niemiecka Marlena Dietrich. To wspaniali twórcy. „Dwa krawaty” - wcześniejsza sztuka tych autorów - była pierwszym musicaliem europejskim... „Szwindel” jest jedną z trudniejszych rzeczy, które dotąd robiłem, właściwie, nie mam chwili wolnego od paru miesięcy. Jeszcze dzisiaj zmieniałem zapisy w egzemplarzu reżyserskim. W tym spektaklu mamy ciągłe przebijanie się aktorów. Tylko dwójka bohaterów nie zmienia się podczas przedstawienia. Wszyscy aktorzy grają wiele ról, epizodów. Każda postać ma osobny kostium.



Jest ponad 64 kostiumów dla 12 osób.

Jakie postaci zobaczymy?

Na pewno pojawi się Marlena Dietrich, która zaśpiewa jedną zwrotkę. Będzie główny polityk tamtego świata Adolf Hitler, fragmenty filmu „King Kong. Jest też Magnus Hirschfeld i Leni Riefenstahl. Są to bardzo skromne, kreskowo pokazane postacie. Bardzo ciekawe są aluzje muzyczne. Na przykład w jednej piosence zespół sugeruje śpiewanie walca, muzyka brzmi jak walczyk, jest łagodna, uroczą, ale pod koniec utworu zaczyna się marsz...

Kojarzący się z tym co jest za oknem, w Berlinie lat trzydziestych...

Takie historie się tam dzieją. Ciekawe są w warstwie muzycznej. Sama sztuczka jest fantastyczna. Historia z pozorów wydaje się banalna. Dwójka młodych ludzi chce spędzić uroczą wieczór... Tylko pojawia się pytanie, czy będzie jeszcze następny dzień?

Bardzo aktualne...

Tak - wszyscy noszą w sobie jakiś lęk przed utraceniem wolności. Ta prosta historyjka nagle mówi o historii Europy. Jedna z postaci pyta na końcu sztuki: „Czy ona wyjdzie za niego, czy on będzie z nią? Czy jeszcze coś się wydarzy?” sugerując, że nie wiadomo, czy będzie jakieś jutro. Przy czym sztuka jest bardzo zabawna. Łączy wszystko to co ją lubię najbardziej, czyli pewną melancholię, gorycz i niesamowity ładunek komediowy. Ten typ żartu szalenie współczesnego, jak z „Rejsu”.

Często realizuje pan spektakle w teatrze lalkowym, ale



Scena Letnia Teatru Wybrzeże, mieści się w Międzynarodowym Parku Kulturowym Faktoria w Pruszczu Gdańskim, przy ul. Zastawnej

głównie dla dorosłych. Dlaczego?

Przedstawienia dla dzieci to nie jest to moja najmocniejsza strona, dlatego że moje poczucie humoru czasami bywa specyficzne. Nie zawsze jest grzeczne, gustowne, a z dziećmi trzeba mówić troszkę innym językiem. Natomiast parę rzeczy zrobiłem w teatrze lalkowym, najczęściej w żywym planie. W lalkach dla dorosłych reżyserowałem kiedyś w Szczecinie przedstawienie „Stworzenia sceniczne” o aktorach, które grają w teatrze „Makbeta”. Wykorzystałem

też lalki w Teatrze Animacji w Poznaniu, w „Zielonej gęsi”. Wszystkie sceny w teatryku Hermenegildy Kociubińskiej grane są w dwóch planach. I to mi dało, powiem szczerze, ogromną radość. Jednak robienie spektaklu lalkowego wymaga cierpliwości i wiele, wiele pracy. Wszystkim się wydaje, że to jest jakieś machanie lalką, tymczasem jest to bardzo trudne.

Zobaczymy aktorów dramatycznych, którzy w takim repertuarze muzycznym zwykle nie grają.

U mnie w operetce „Karmaniola” stanęli na wysokości zadania, pokonali ten repertuar klasyczny, bardzo trudny - muzykę Moniuszki, która stanowiła ogromne wyzwanie.

Pruszczańska scena w Faktorii nie stwarza wielkich możliwości...

Nie, ale my wykorzystamy ją w sposób absolutny. To znaczy elementy dekoracji postawimy z lewej i z prawej strony, będzie ona na scenie i poza sceną. Poszalejemy tam trochę.

Wiele pan reżyseruje, jeździ po całej Polsce?

Za długo nie mogę być w jednym miejscu szybko się przemieszczam. Kiedyś pewien słynny aktor powiedział: „Jestem tam gdzie moje walizki”, ale tak naprawdę, to mieszkam stale w Białymstoku i zawsze tam wracam, żeby się zregenerować i pożyć, a ilość pracy to już trochę nie ode mnie zależy...

Jakie ma pan najbliższe plany?

Być może będę robił w Teatrze Siemaszkowej w Rzeszowie sztukę „Słomkowy kapelusz”. Uwielbiam ten tytuł. Zrobiłem go już raz, ale

to jest szalenie śmieszna sztuka. Widziałem ludzi, którzy „umierali” ze śmiechu. Bardzo chcę to tam zrobić. Potem w Teatrze Ochoty razem z innymi reżyserami w reżyserował będę sztukę w ramach projektu „Polowanie na motyle”. Potem w planach mam pracę nad „Porwaniem donny Agaty”. To bardzo zabawna historia, której akcja dzieje Ameryce Południowej. A co dalej? Czas pokaże. Na razie, najważniejsza jest premiera na Scenie Letniej w Pruszczu, to już 17 sierpnia. © P

„WSZYSTKO SZWINDEL”

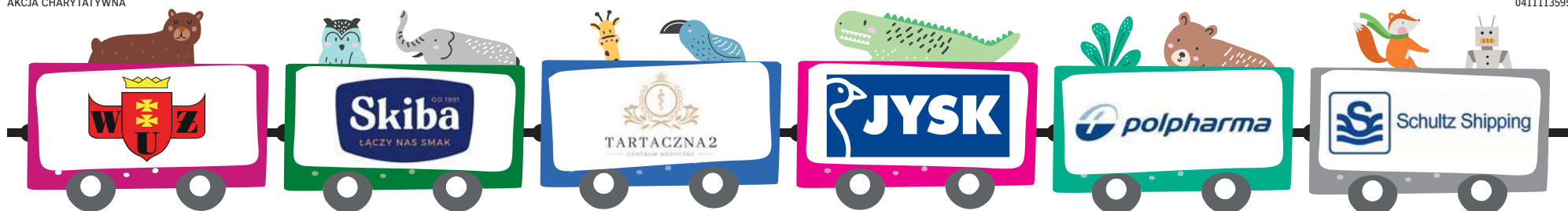
Kończy się 16. sezon Sceny Letniej Teatru Wybrzeże, jest to wspólna inicjatywa gdańskiego teatru i Miasta Pruszcz Gdański. Scena Letnia mieści się w Międzynarodowym Parku Kulturowym Faktoria przy ulicy Zastawnej w zakolu rzeki Raduni. Jak co roku, w każdy wakacyjny weekend prezentowany jest tam jeden tytuł dla widzów dorosłych oraz bajka dla dzieci. Spektakl „Wszystko szwindel” (polska prapremiera, godz. 21.00) zrealizowany został przy wsparciu finansowym Miasta Pruszcz Gdański. Na scenie pojawią się: Katarzyna Borkowska, Małgorzata Brajner, Grzegorz Gzyl, Maciej Konopiński, Konrad Kucharczyk, Katarzyna Michalska, Robert Ninkiewicz, Małgorzata Oracz, Grzegorz Otrębski, Cezary Rybiński, Adam Turczyk, Marek Tynda. Po premierze tej sztuki zobaczymy 18 sierpnia o godz. 14.00 „Złoty klucz” część czwarta (reż. Maćko Prusak), a o godz. 20.30 będzie Scena Kabaretowa Stand-up - Tomasz Jachimek, Michał Kempa, Tomasz Karolak. Na wszystkie wydarzenia wstęp wolny.

WARTO WIEDZIEĆ

Paweł Aigner

właściwie Paweł Piotrowski, to urodzony w 1968 roku, lalkarz, aktor teatralny i telewizyjny, reżyser i pedagog. W 1993 roku ukończył kierunek aktorski na Wydziale Lalkarskim PWST w Białymstoku. Od 1993 roku przez dziesięć sezonów pracował w Białostockim Teatrze Lalek, jako aktor. W roku 2004 rozpoczął karierę reżyserską. W swoim dorobku ma blisko trzydzieści ról teatralnych i prawie pięćdziesiąt spektakli wyreżyserowanych w teatrach lalkowych, dramatycznych i muzycznych. Gdańska publiczność pamięta jego znakomitą „Arabelę” w Teatrze Wybrzeże i operetkę „Karmaniola”. W Gdańskim Teatrze Szekspirowskim wystawił „Wesołe kumoszki z Windsoru”, sceniczne widowisko w konwencji teatru elżbietańskiego oraz „Zakochanego Szekspira” romantyczną komedią o zakazanej miłości według tekstu Marca Normana i Toma Stopparda.

AKCJA CHARYTATYWNA



0411113595

Katarzyna Piojda

Pomorzanka sama wychowuje czworo dzieci. Kobieta nigdy nie pracowała zawodowo. Rodzina utrzymuje się z tego, co gmina i państwo przekażą. Dostaje na dzieci po 800 plus. Dochodzi po 400 zł alimentów na każde. Ojciec nie przekazuje tych pieniędzy, więc gmina go wyręcza. Samotna matka otrzymuje jeszcze inne świadczenia i zasiłki - i wpada kolejne 2600 zł. Zajmuje mieszkanie komunalne. Standardowy czynsz wynosi około 650 złotych, ale lokatorzy płacą trochę ponad połowę. Korzystają z dodatku mieszkaniowego, czyli dopłaty do czynszu.

Pięćosobowa rodzina ma lepszą sytuację finansową niż niejedno małżeństwo z dwojgiem dzieci. Tak dzieje się wówczas, gdy żona i mąż zarabiają najniższe krajowe, tzn. od stycznia bieżącego roku po około 3220 zł na rękę, a jedyne świadczenia, które im przysługują, jest wspomniane 800 plus. Wydatków żona z mężem mają znacznie więcej, począwszy od całego czynszu, np. 720 zł, oraz kredytu hipotecznego, zaciągniętego na to mieszkanie. Rata wynosi, załóżmy, 1100 zł, a ostatnią małżonkowie zapłacą za 20 lat.

Larum na forum

Matka czwórki zadowolona nie jest. Gdy jeszcze do końca 2023 roku dostawała po 500 plus na każdą córkę i każdego syna, pieniądze wpływały na konto 25. dnia danego miesiąca. Niektóre matki z jej miasta wstawiały na lokalną grupę informację, że kasa pojawiła się już 24. wieczorem. Panie, które nie odbierały powiadomień ze swoich banków o otrzymanym przelewie, były wdzięczne za sygnał i ruszały na zakupy.

Bezrobotna matka czwórki nie mogła, bo teraz pieniądze dostaje równo 25. każdego miesiąca. Kilkakrotnie podnosiła larum. Wypisywała na lokalnym forum, że to niesprawiedliwe. Narzekała, że jej dzieci cierpią, ponieważ rodzice, którzy dostali świadczenia 24. wieczorem, mogli swoje dzieci obkupić, a ona odbiera wypłatę „dopiero” nazajutrz. Dramatyzowała, że planowała wybrać się ze swoimi dziećmi, sąsiadką i jej maluchami do kina, ale pójdzie jedynie sąsiadka ze swoją rodziną. Ta sąsiadka przelew otrzy-

ZASIŁKOWI NERWOWO ZAGLĄDAJĄ NA KONTA



800 plus, zasiłek stały, zasiłek okresowy, zasiłek celowy, specjalny zasiłek celowy, a jeszcze dopłata do czynszu - nie tylko na tę pomoc może liczyć beneficjent

Jedni parę razy dziennie pytają na forum, kiedy będą wypłacane świadczenia. Inni odbijają: jak można tak żyć, żeby tylko czekać, aż kasa wpłynie?

mała, a matka czwórki czekała.

Inni internauci komentowali: „Kiedyś nie było żadnych 500 plusów. Każdy sobie radził, a nie tylko patrzył, jak kasa spłynie. Jak pani na już potrzebuje, to może do pracy się weźmie. Lepsze to niż siedzenie na Facebooku i wypisywanie gorzkich żali.”

Kolejni wytykali: „Ostatnio prosiła pani na grupie o polecenie stylistki paznokci. Kiedyś sprzedawała, tak samo na grupie, słuchawki do iPhone'a. Na te panią stać, a na kino dla dzieci nie?!”

Wywołana do odpowiedzi bezrobotna samotna matka odparowywała: „Każda kobieta chce ładnie wyglądać. Tak w ogóle, to słuchawki mają trzy lata. A 800 plus mi się należy.”

„Nie pani, lecz dzieciom” - prostowali legaliści.

Anonimowe zgłoszenie

Podobne scenariusze są przez życie pisane. Bydgoszczanin zadzwonił do naszej redakcji 1 lutego rano. - Opieka

społeczna zwleka z wypłatą pieniędzy - alarmował.

- O ile dni?

- Prawie o jeden. To znaczy przelew miałem dostać do końca miesiąca.

Okazało się, że owszem, ale do końca lutego, a nie stycznia. Mężczyzna nie chciał podać szczegółów i pozostał anonimowy (ochrona danych osobowych się kłania). Nie byliśmy więc w stanie sprawdzić jego przypadku.

Marta Frankowska, rzecznik Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Bydgoszczy, wyjaśniła nam tyle, ile mogła:

- Trudno odnieść się do zarzutu dotyczącego zwłoki wypłaty świadczenia z pomocy społecznej, tym samym rzetelnie zweryfikować stan faktyczny, w sytuacji, gdy osoba zgłaszająca zachowuje anonimowość, a treść, którą wnosi, opiera się na stwierdzeniu „Nie dostałem, a zawsze do końca miesiąca dostawałem”. Mogę jedynie przypomnieć, iż świadczenia z pomocy społecznej

przyznaje się na wniosek beneficjenta, po przeprowadzeniu wywiadu środowiskowego, stwierdzającego zasadność udzielenia wsparcia. Decyzja administracyjna w powyższym zakresie wydawana jest zgodnie z wykładnią Kodeksu postępowania administracyjnego, niezwłocznie po przeprowadzeniu postępowania dowodowego, nie później jak w terminie jednego miesiąca. MOPS wypłaty świadczeń realizuje na bieżąco, z zachowaniem obowiązujących terminów.

Awantura gotowa

Inna pracownica socjalna z 32-letnim stażem z naszego regionu mówi anonimowo:

- Zanim rząd wprowadził świadczenie wychowawcze 500 plus oraz podobne formy pomocy, załatwianie spraw pomocy, załatwianie spraw przez internet nie było powszechne, jak teraz. Na co dzień borykaliśmy się z przynajmniej kilkoma roszczeniami klientów. Niektórzy stali przed ośrodkiem już przed jego

otwarcem. Gdy zainteresowani otrzymaniem wsparcia wypełniali rubryki w formularzach i się mylili, a my upominaliśmy ich o prawidłowe podanie danych, wszczynali awantury, jakbyśmy to my byli winni.

Bez niczego

Nasza rozmówczyni kontuuje: - Odkąd pojawiło się 500 plus, klientów z pretensjami nam ubyło. W dużej mierze dlatego, że świadczenia, wypłacane przez urzędy miast, są niezależne od dochodu, sytuacji materialnej i rodzinnej. W przypadku wybranych nawet nie ma konieczności fatygowania się do urzędu czy instytucji, żeby załatwić sprawę. Środki są po prostu wypłacane. U nas funkcjonuje to inaczej. Zasiłki bądź świadczenia przyznajemy dopiero po sprawdzeniu sytuacji potencjalnego klienta. Tenże musi wypisać wnioski, dostarczyć dokumenty i za świadczenia. Spotyka się u nas z pracownikiem socjalnym.

Później nasz pracownik udaje się na wywiad środowiskowy, tzn. odwiedza zainteresowanego otrzymaniem pomocy w jego domu, aby móc ocenić jego sytuację. Dopiero pozytywna weryfikacja wnioskodawcy upoważnia nas do objęcia go wsparciem. I tak po wielu staraniach klient dostanie przykładowo kilkadziesiąt złotych zasiłku. To nie to samo, co 800 plus, o które nikt nie musi zabiegać.

Państwo dla obywateli, a nie tylko obywateli dla państwa - przeważnie takiego zdania byli uczestnicy sondażu, przygotowanego w 2014 roku przez POLPAN Polskie Badanie Panelowe. Ankietowani przyznali, że od naszego kraju oczekują, żeby zaspokajał ich potrzeby. „Respondenci wykazali duże poparcie dla opiekuńczej roli państwa” - komentowali przedstawiciele Polskiej Akademii Nauk. „Według uczestników badania, państwo powinno zapewnić pracę każdemu, kto chce pracować. Większe różnicowanie występuje w przypadku oczekiwań co do tego, na ile państwo powinno się angażować w redukcję nierówności społecznych. Odnosi się to do wysokości wynagrodzenia, ale również świadczeń m.in. z pomocy społecznej”.

Syndrom ręki

Nastał 2024 rok i coraz więcej ludzi jest niezadowolonych. Wśród nich są właśnie ci z pretensjami, typu „mnie się należy”. Powstało nawet określenie: syndrom wyciągniętej ręki. Ta ręka chce coś dostać.

Jeśli w pewnym środowisku rodzi się niezadowolony, to osoby z tego środowiska przyjmują postawę roszczeniową, także wobec państwa. I ponoć nie jest to dziwne. Reprezentanci tej grupy komunikują w różny sposób, często agresywny, czego im brakuje. Ich ton i pretensje często są nieuzasadnione.

Nieuzasadnione są też zachowania tych, którzy liczą na pomoc rzeczową.

- Magazyn z darami działa w wybrane dni tygodnia od godz. 8 - mówi Maria Kapuścińska, specjalistka ds. pomocy społecznej w bydgoskim oddziale Polskiego Czerwonego Krzyża. - Część podopiecznych przychodzi już po 5. Sądzą, że gdyby zjawili się później, nie wystarczy dla nich ubrań, jedzenia czy środków czystości. A to nasza w tym głowa, żeby wystarczyło. ©

AKCJA CHARYTATYWNA

0111120572



ZŁUDNY KULT CIAŁA I SERYJNA URODA

Kuba rzadko zagląda do książek, ale często na siłownię. W szkolnej ławce siedzi sam. Tak wybrał, bo wtedy łatwiej jemu przeżyć muskuły.

Katarzyna Piojda

Przyszłoroczny maturzysta z pomorskiego liceum ogólnokształcącego według rodziców zaniedbuje naukę od samego początku szkoły średniej. Martwią się, jak za niespełna rok podejdzie do egzaminu dojrzałości, bo zamiast zaglądać do podręczników, on zagląda na siłownię. Trenuje w pojedynkę regularnie, dwa razy dziennie, przed szkołą i po lekcjach. W wakacje to nie problem, ale w roku szkolnym już tak.

W jego mieście działa więcej niż kilkanaście siłowni. Kuba kierował się dziwnym kryterium, szukając miejsca, w którym będzie ćwiczył. Wybrał wcale nie te najbliższe domu czy z najtańszymi kartami, tylko takie, w którym luster jest najwięcej. To dlatego, że lubi oglądać się w lustrze, gdy wchodzi na salę, potem jak na niej przebywa, no i z niej wychodzi. Sporo czasu spędza wewnątrz, chociaż intensywnie nie ćwiczy. Długi czas zajmują mu nagrania.

Sukces odhaczony

Relacje z sali Kuba publikuje prawie codziennie. Dzień w dzień robi sobie także zdję-

cia niczym dokumentację. Później porównuje fotki sylwetki z początku i końca miesiąca. Jeśli widzi, że zrobił masę, czyli - jak sam określa - rozrósł się w barach, odhacza sukces. Na portalach społecznościowych nim się chwali. W ostatni dzień każdego miesiąca (tak od paru miesięcy) młody bydgoszczanin raczy swoich facebookowych i instagramowych znajomych nowymi seriami zdjęć, ukazujących coraz bardziej wyrzeźbioną sylwetkę.

Chłopak jeszcze w zeszłym roku szkolnym siedział w klasie z kolegą. Teraz sam jest w ławce. Kumpli ma wielu, ale tak sobie wybrał.

Ponoć ze względów praktycznych, no i z wygody. Często się rozciąga, napina mięśnie. Nawet podczas lekcji, bo systematyczność ćwiczeń ma znaczenie. Gdyby ktoś siedział obok, przeszkadzałoby mu to. Kubie zresztą też. Kontakty towarzyskie to on utrzymuje na przerwach i na Facebooku. Na początku nauczyciele upominali go, że lekcja to nie miejsce na przeciąganie się. Wpisывali uwagi za nie stosowne zachowanie. Po paru tygodniach odpuścili. Głównie dlatego, że chłopak przeżył się jedynie, gdy oni nie

widzą, czyli akurat piszą na tablicy.

Logo -prasowanka

Kuba nie odpuszcza sobie natomiast zamawiania sportowych ubrań oraz akcesoriów. Kupuje je na chińskim portalu. Lubi markowe stroje. Dla niewtajemniczonych: duże logo nie zawsze oznacza oryginalne. 19-latek zaopatruje się w koszulki tzw. oddychające. Kupuje je w zestawach, przykładowo po pięć albo 10 sztuk. Wszystkie czarne, bez ozdób.

Na tej samej platformie sprzedażowej oddzielnie zamawia termonaszywkę. Są to tzw. prasowanki, najczęściej logo firm Adidas i Nike do ozdabiania odzieży. Mają podklejoną specjalną folię. Wystarczy je przypasać do tkaniny. Dzięki termonaszywkom każda bluza, koszulka i spodenki wyglądają jak z licencjonowanego sklepu wzięte. Przetrwają kilkanaście prani. Apo owych kilkunastu praniach, gdy logo odpadnie albo się ukruszy, Kuba wymieni koszulkę na nową, znowu czarną i pseudo-oryginalną.

Gdy tylko Kuba zaczął chodzić na siłownię, zaczął też chodzić z Natalią, rówieśniczką, ale z innej szkoły. Dziewczyna nie jest miłośniczką treningów, ale na pewno fanką sztucznych

rzęs i paznokci. Wyznaje zasadę, że im dłuższe, tym lepsze. Kiedyś kosmetyczka odmówiła jej przyklejenia dwucentymetrowych rzęs. Tłumaczyła, że będą wyglądały wyjątkowo nieatrakcyjnie. Kuby sympatia nie poddała się i poszukała w internecie inną kosmetyczkę, która jej te rzęsy jakoś zamontowała.

Dziewczyna wstawiła zdjęcie nowej wersji siebie na portal i opatrzyła opisem „Wicherki”. Coś w tym przekazuje jest: można by pomyśleć, że gdy Kuby dziewczyna mruga, jej rzęsy wytworzą wiatr.

Memy o przesadnie długich rzęsach oraz wietrze da się łatwo znaleźć w necie.

Doklejane rzęsy biją rekordy popularności wśród dziewcząt, ale mało która doczepia sobie brwi. Ukochana Kuby stanowi pod tym względem wyjątek. Sztuczne brwi ma.

Nie, że je domalowuje. One są wykonane z ludzkich włosów. Kupuje je tak, jak jej Kuba koszulki, czyli w pakietach. Zestaw zawiera 11 par brwi, zatem 22 sztuki.

Paznokcie tej dziewczyny także chyba mogą konkurować o miano najdłuższych w szkole. Są przynajmniej jeszcze raz tak długie, jak prawdziwe, natu-

ralne. Prawie wszystkie koleżanki z klasy noszą sztuczne, ale u dziewczyny Kuby wydają się niczym przedłużenie palców blisko o jedną trzecią. Ktoś kiedyś nazwał ją żartobliwie Edwardem Nożycorękim. Nie skojarzyła. Przecież to bohater filmu sprzed ponad 30 lat.

Nadmuchane usta

Ci, którzy młodość przeżywali właśnie jakieś 30 lat temu, dziwią się dzisiejszym nastolatkom. Funkcjonowały solaria, ale nie było gabinetów specjalizujących się w powiększaniu ust. Istniały salony kosmetyczne, ale oferowały oczyszczanie cery i malowanie paznokci, a nie zakładanie rzęs i brwi. W zakładach fryzjerskich robiło się trwałą ondulację, a nie zakładało do czepcy. Na siłowniach się ćwiczyło, ale bez uprzedniego rozpisywania planów treningowych albo towarzystwa trenerów personalnych.

Słychać komentarze: - Jak ingerować w naturę, to faktycznie ją poprawić, a nie zmieniać na minus. Płeć żeńska chce wyglądać wyjątkowo, lecz wygląda, jak spod tego samego skalpela. Coraz częściej widać na ulicach dziewczyny i kobiety po zabiegach, niczym z jednej linii produkcyjnej. Ten sam kształt

wypukłych ust, jednakowe krzak-firanki nad oczami, paznokcie długachne.

Panowie w wygląd także ingerują. Różnica polega na tym, że kobiety poprawiają raczej górne partie (czytaj: twarz), zaś oni figury.

Kto sądzi, że upiększanie to znak ostatnich lat, ten się myli. Błyskawiczny rozwój medycyny estetycznej i coraz łatwiejszy dostęp do usług chirurgów plastycznych sprawił, że ta branża jest jedną z najdynamiczniej rozwijających się w XXI wieku. W ciągu czterech lat (1997-2001) zainteresowanie operacjami plastycznymi wzrosło o ponad 300 procent.

W tych samych latach popularność zabiegów z użyciem wypełniaczy (przede wszystkim botoksu i kwasu hialuronowego) wzrosła o ponad 2304 proc. Tak wynika z opracowania pt. „Wpływ zabiegów upiększających na ocenę własnego wyglądu i nastrój u kobiet w wieku średnim”.

Jak Feniks z popiołów

Siłownie po czasie koronawirusa odrodziły się jak Feniks z popiołów. Od 2021 r. liczba osób posiadających karty na siłownię zaczęła stopniowo ro-

Dokończenie na str. 16

REKLAMA

0011144381

AGENCJA
MIENIA
WOJSKOWEGO

DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO w GDYNI

podaje do wiadomości wyciąg z ogłoszenia o I ustnym przetargu nieograniczonym

na sprzedaż niewyodrębnionego lokalu mieszkalnego nr 29 o pow. 17,92 m², położonego na III piętrze budynku nr 2 przy ul. Kościuszki w Uście, obejmującego 1 pokój, kuchnię, łazienkę z w.c., przedpokój. Do lokalu nie przynależy piwnica.

Lokal posiada świadectwo charakterystyki energetycznej.

KW dla nieruchomości SL15/00065485/5. Udział 117/10000 części we współwłasności budynku oraz we współwłasności działki gruntu oznaczonej w ewidencji nr 302/2, obręb 221201_1.001, o obszarze 0,1192 ha.

Cena wywoławcza: 145 000,00 zł Wadium: 14 500,00 zł

Przetarg odbędzie się dnia 11.09.2024 r. o godz. 10⁰⁰ w siedzibie OReg AMW w Gdyni, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 19, sala konferencyjna (III piętro).

Warunkiem dopuszczenia do uczestnictwa w przetargu jest wpłacenie wadium w formie pieniężnej, w terminie do 5.09.2024 r. na rachunek bankowy OReg AMW w Gdyni w BGK 54 1130 1121 0006 5589 8520 0008. Za ostateczny termin wniesienia wadium uważa się dzień uznania rachunku bankowego OReg AMW w Gdyni.

Pełna treść ogłoszenia znajduje się na tablicy ogłoszeń OReg AMW w Gdyni (I piętro) i na stronie www.amw.com.pl.

Oglądanie lokalu w godzinach pracy, po wcześniejszym umówieniu się: tel. 500 870 345

PRZETARG

PRZETARG

PRZETARG

PRZETARG



Księgarnia Dziennika Bałtyckiego poleca

Książki do nabycia w księgarni Dziennika Bałtyckiego

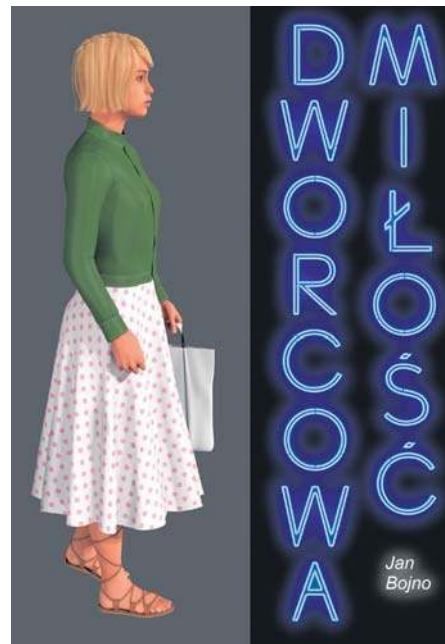
Kliknij i kup www.ksiegarnia.dziennikbaltycki.pl

Możesz też zadzwonić pod nr tel. 502 499 054

REKLAMA

0011139730

„Dworcowa miłość”



Historia prawdziwa, w której centralnym wydarzeniem jest spotkanie dziewczyny na olsztyńskim Dworcu Głównym w nocy z 25 na 26 czerwca 1979 r. Bohater, który przerwał studia i w wakacje wybiera się do nowicjatu, niespodziewanie odkrywa sens miłości. Do zakonu nie trafia. Spotkanie odciska głębokie piętno na jego sposobie myślenia, a co za tym idzie na dalszym życiu. Akcja poprowadzona jest do roku 2013.

Na uwagę zasługuje analiza psychologiczna postaci. Uzyskujemy unikalny wgląd do rzeczywistej ludzkiej duszy. Poglądy bohatera chwilami mogą irytować. Nic dziwnego - wynikające z nich kroki nieraz okazują się tragiczne. Choć uparcie szuka, nie znajduje odpowiedzi na pytanie o istnienie Boga i miłości, podobnie jak nie potrafi dowiedzieć się czegośkolwiek o swej ukochanej. Nie zna nawet jej imienia.

„Dworcowa miłość”, BOJNO JAN, 2020 r, wyd. MANUFATURA SŁÓW, cena 17 zł.

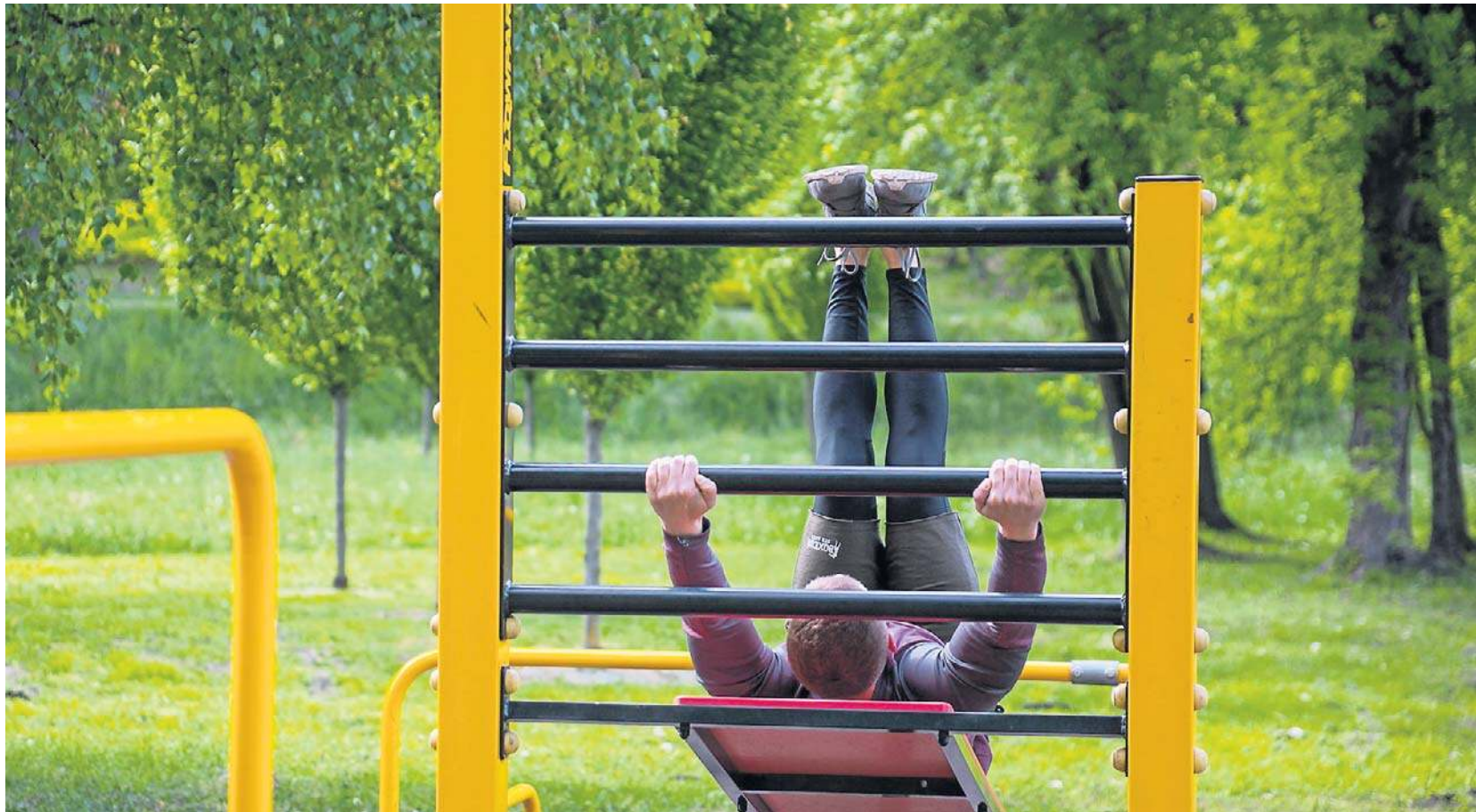
...ZŁUDNY KULT CIAŁA I SERYJNA URODA...

Dokończenie ze str. 15

snąć. MultiSport jest rodzajem najbardziej znanego abonamentu uprawniającego do wejścia do paru tysięcy obiektów sportowych i rekreacyjnych w Polsce w promocyjnych cenach lub w ogóle bez dodatkowych opłat. Poza nim istnieje co najmniej kilka podobnych systemów. „W samym grudniu 2022 roku z zajęć sportowo-rekreacyjnych dostępnych w ramach karty MultiSport korzystało 1,18 mln osób w kraju. Przybyło więc 123 000 użytkowników w IV kwartale 2022, a w całym 2022 roku do programu MultiSport dołączyło 345 000 osób.

W ujęciu rocznym oznacza to wzrost o 41 proc.” - wskazuje Grupa Benefit Systems. Później odnotowano dalsze wzrosty, przeciętnie o 2,5 proc. miesięcznie. W 2023 r. stwierdzono kolejne przyrosty, sięgające 40 proc. wejść więcej niż przed pandemią.

- Niech ludzie odwiedzają siłownię i salony piękności. Były tylko te salony naprawdę dodawały urody, a nie ją likwidowały - kwitują niektórzy. ©



Treningi nie tylko wiosenne, prowadzone czy to na siłowni tradycyjnej, czy na otwartej przestrzeni, poprawiają kondycję, wagę i nastrój. Oby tylko były wykonywane systematycznie i dla samego siebie, a nie pod publikę

AUTOPROMOCJA

0011143795

Zawody rowerkowe dla dzieci w Malborku. Czekaamy na dzieci w wieku od 3 do 9 lat



Monika Latkowska
Nasza akcja

W sobotę, 31 sierpnia czeka Was dzień pełen sportowej rywalizacji i wielu emocji dla najmłodszych. Zapraszamy na niezapomnianą przygodę. Czekaamy na Was od godziny 11.

W zawodach mogą wziąć udział dzieci w wieku od 3 do 9 lat, bez względu na to czy już jeżdżą na rowerze, czy dopiero zaczynają swoją przygodę z dwoma kółkami. Warunkiem uczestnictwa jest wypełnienie formularza zgłoszeniowego dostępnego na stronie:

www.dziennikbaltycki.pl/rowerkimalbork Zapisy trwają do 28 sierpnia do północy lub do wyczerpania limitu miejsc.

Zawody rozpoczniemy o godzinie 11:00, kiedy to zaczniemy wydawać numerki startowe każdemu uczestnikowi. O godzinie 12:00 wystartują najmłodsze

roczniki, gotowe do pokonania swoich pierwszych rowerowych metrów! Pamiętajcie, że do zawodów przystąpią dzieci, które będą posiadały kask.

Mali kolarze staną na starcie w „trójkach” i pojadą na dystansach dostosowanych do ich wieku: roczniki 2021 i 2020 (3 i 4

latki) - 40 metrów, roczniki 2019, 2018 i 2017 (5, 6 i 7 latki) - 60 metrów oraz roczniki 2016 i 2015 (8 i 9 latki) - 100 metrów.

Bez względu na wynik, każde dziecko odbierze zasłużony medal, dyplom i stanie na podium, gdzie zrobimy mu zdjęcie. U nas nie ma przegra-

nich, każdy uczestnik zostanie uhonorowany za swoje wysiłki i determinację!

Oprócz zawodów rowerowych, czekać na Was będą również inne atrakcje. Widzimy się 31 sierpnia w na Stadionie Miejskim w Malborku przy ul. Toruńskiej 60.

ORGANIZATOR:

PARTNERZY LOKALIZACYJNI:

PARTNERZY:

Dziennik Bałtycki



Malbork
Kocham to miasto!



Trwa plebiscyt na Najlepszy Sklep i Usługę Lata

Monika Latkowska
Nasza Akcja

Trwa tegoroczna edycja, plebiscytu „Najlepszy Sklep i Usługa Lata”. Zagłosuj na swoich kandydatów. Do wygrania kampanie reklamowe w naszych mediach.

Promocja lokalnych przedsiębiorców
Głównym celem konkursu jest promocja lokalnych przedsiębiorców, budowanie ich pozytywnego wizerunku oraz wspieranie wysokiej jakości usług. Chcemy także pokazać i wyróżnić te miejsca, które oferują wysoka jakość obsługi i wspaniałą atmosferę. Udział w konkursie to dla przedsiębiorców szansa na zaprezentowanie swojej oferty. - Chodź przede wszystkim o przedsta-

wienie produktu lub usługi. - mówi Natalia Pomykała, specjalista ds. wsparcia sprzedaży. - Plebiscyt jest otwarty na każdą branżę i każdą działalność. Czy to salony samochodowe, czy studia piękności, sklepy usługowe, wizażystki, czy działalności budowlane.

Atrakcyjne nagrody
Na laureatów konkursu czekają atrakcyjne nagrody w postaci voucherów na kampanie reklamowe w naszych mediach. Za zajęcie I miejsca laureat otrzyma kampanie reklamową na łamach Dziennika Bałtyckiego i mediach Polska Press o wartości 18 000 zł. II miejsce gwarantuje kampanie reklamową na łamach Dziennika Bałtyckiego i mediach Polska Press o wartości 13 000 zł. Laureat III miejsca zdobędzie kampanie reklamową o wartości 7 000 zł.

Łączna pula nagród to blisko 40 tys. złotych! Dzięki temu Wasze usługi dotrą do większej liczby potencjalnych klientów. Pamiętaj, że im więcej osób usłyszy o Twoim biznesie, tym większe możliwości na jego rozwój.

Ważne daty
W poniedziałek, 29 lipca, rozpoczęło się głosowanie na „Najlepszy Sklep i Usługę Lata”. Poniżej przedstawiamy nominowanych kandydatów wraz z prefixami do głosowania. Kto wygra w tym roku i zdobędzie tytuł? O tym przekonamy się już 12 sierpnia. Głosowanie potrwa do godz. 21.00. Pełna listę kandydatów wraz z instrukcją głosowania znajdziecie w naszym serwisie w w.w.d.z.i.e.n.n.i.k.b.a.l.t.y.c.k.i.pl/nsiul



FOT. ARCHIWUM

NAJLEPSZY
SKLEP I USŁUGA
PLEBISCYT LATA 2024
naszemiasto.

Poznaj uczestników plebiscytu na Najlepszy Sklep i Usługę Lata

Wesprzyj swoich faworytów, wybierz najlepszy sklep i usługę w naszym mieście!
Głosowanie w konkursie trwa **od 29 lipca 2024 r., od godz. 12.00**
do 12 sierpnia 2024 r., do godz. 21.00

Aby oddać głos, wyślij na numer 7303 SMS o treści podanej przy kandydacie.

Koszt SMS-a 3,69 zł z VAT

kategoria	Nazwa kandydata	prefix
USŁUGA	Papugarnia	GSU.1
USŁUGA	Stacje Diagnostyczne „Mański”	GSU.2
USŁUGA	Strefa Zoltar	GSU.3
USŁUGA	Elektryk24h.com	GSU.4
USŁUGA	Oliwa do Ognia	GSU.5
USŁUGA	Deker	GSU.6
USŁUGA	Yes Czysto	GSU.7
USŁUGA	Auto Kosik	GSU.8
USŁUGA	M.K.Bygg Michał Kaczmarski – producent mebli	GSU.9
USŁUGA	NOREL C S.C.	GSU.10
USŁUGA	Gościniec Malinówka	GSU.11
USŁUGA	Przyczepka Pruszcz	GSU.12
USŁUGA	Piach i Woda	GSU.13

USŁUGA	Komplaks Wypoczynkowo-Konferencyjny Wichrowe Wzgórze Resort&SPA	GSU.14
USŁUGA	Apply Engineering	GSU.15
USŁUGA	Atelier Gruza	GSU.16
USŁUGA	Boropot	GSU.17
USŁUGA	Taniec-Paulina Cytruk	GSU.18
USŁUGA	Surma	GSU.19
SKLEP	DORT-MED	GSU.20
SKLEP	Cezal	GSU.21
SKLEP	Bar Bursztyn	GSU.22
SKLEP	ABREX	GSU.23
SKLEP	SKI BIKE	GSU.24
SKLEP	DAMMERA	GSU.25
SKLEP	Electric-Tech	GSU.26
SKLEP	SideQuest	GSU.27

Więcej informacji na stronie www.dziennikbaltycki.pl/nsiul

Informacji o akcji udziela: Monika Burchardt, monika.burchardt.polskapress.pl, tel. **500 324 451**



6 SIERPNIA,
FILADELFIA

Do wejścia na scenę w Filadelfii wraz z Kamalą Harris, 70 proc. Amerykanów nie słyszało o Timie Walzu. Teraz wielu ludzi na świecie będzie musiało poznać to nazwisko, bo gdyby Kamala Harris wygrała wybory prezydenckie w USA, Walz zostałby jej wiceprezydentem

FOT. PAP/ EPA/MICHAEL REYNOLDS



FOT. FUTURO VEGETAL / HANDOUT / ANADOLU/ABACA PRESS.COM

6 SIERPNIA, IBIZA Aktywiści zdewastowali willę słynnego piłkarza Leo Messiego na Ibizie. Co gwiazda futbolu ma wspólnego z globalnym ociepleniem, niestety nie wiadomo

REKLAMA0011107476

POŻYCZKI GOTÓWKOWE
Szybka decyzja
Minimum formalności
797 703 503
Koszt połączenia wg taryfy operatora. Maksymalnie 8990 899 1%

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl



FOT. PAP/EPA/MARTIN DIVISEK

05 SIERPNIA, PARYŻ Człowiek nie z tego świata - napisał o Armandzie Duplantisie „L'Équipe”, francuski dziennik sportowy. Faktycznie. Dotychczas jedynym tyczkarzem, który na igrzyskach ustanowił rekord świata i zdobył złoty medal, był Władysław Kozakiewicz, a dokonał tego w Moskwie w 1980 r.

O Oli,
która wspięła
się na wyżyny

Str. 24

Aleksandra Mirosław nie tylko
uzyskała rekord świata, ale zdobyła
złoty medal w swojej dyscyplinie

PULS
#124

ANDRZEJ PERSON: OCZEKUJEMY ŻŁOTYCH MEDALI, ALE NIE ZAWSZE MAMY UMIEJĘTNOŚCI I WALECZNOŚĆ

– Nie chodzi o to, że mamy „gen przegrywania”, ale raczej brakuje nam cierpliwości i zdolności do długofalowego planowania. W sporcie potrzeba czasu, by osiągnąć sukcesy na najwyższym poziomie, ale często oczekujemy natychmiastowych rezultatów – mówi Andrzej Person, były rzecznik prasowy Polskiego Komitetu Olimpijskiego i polskich ekip na igrzyskach olimpijskich

Anita Czapryn

Który moment z tych igrzysk szczególnie utkwił Panu w pamięci? Co będzie Pan wspominał najdłużej?

Myszę, że to będzie samo rozpoczęcie tych igrzysk. Trudno jest oceniać igrzyska, kiedy one trwają. Mamy jeszcze kilka dni do zakończenia olimpiady w Paryżu.

Ale możemy podsumować to, co się wydarzyło do tej pory. Oczywiście, możemy! Oceną wyników sportowych możemy się zająć po zakończeniu zawodów. Bez wątpienia XXI wiek stawia przed nami wyzwania, które nie są łatwe. Polska nie jest już potęgą, jaką była w przeszłości, kiedy regularnie zdobywaliśmy 20 lub więcej medali. Teraz jesteśmy solidną drużyną, ale raczej w kategorii „średniaków”, z kilkoma gwiazdami. Wcześniej tych gwiazd mieliśmy więcej. Dwie Polki zdobyły złoto i brąz – we wspinaczce, ale wiemy też, że w sporcie losy odwracają się w jedną sekundę. Tak było na przykład z Igą Świątek, na którą bardzo liczyliśmy, ale okazało się, że Chinka jest lepsza. Przychodzi taki dzień, w którym jest trochę gorzej. Przeciętą polską drużyną – w stosunku do Europy i do świata – zdobędę prawdopodobnie około 10-12 medali. Ale to nas nie powinno satysfakcjonować.

Wracając do ceremonii otwarcia – co najbardziej podobało się Panu w tym widowisku? Miałem okazję uczestniczyć w piętnastu ceremoniach otwarcia, ta olimpiada jest szesnastą, którą oglądałem. Tym razem śledziłem ją w telewizji, wcześniejsze oglądałem na żywo. Od 1992 roku, od igrzysk w Barcelonie, uważałem, że organizatorzy przykładają ogromną wagę

do ceremonii otwarcia. Kiedyś było to bardziej skromne wydarzenie – drużyny przechodziły, defilując, przez stadion, ogłaszano oficjalne formułki: „Igrzyska olimpijskie uważam za otwarte” i na tym się kończyło. Jednak od Barcelony zaczęło się to zmieniać. Organizatorzy starają się teraz pokazać swoje najlepsze strony, zrobić show, które zostanie zapamiętane. Paryż, moim zdaniem, osiągnął w tym szczyt możliwości. Można zadać sobie pytanie, co zaprezentują kolejne miasta gospodarze, jak Los Angeles w 2028 roku czy Brisbane w 2032 roku.

Też jestem bardzo ciekawa, na ile kolejnym organizatorom uda się przeskoczyć Paryż. Wszyscy jesteśmy tego ciekawi. Ceremonia otwarcia igrzysk stała się integralną częścią wydarzenia, a nawet jedną z jego najważniejszych części, które budzą wiele emocji i zapadają w pamięć. Pamiętam, jak w 2012 roku w Londynie pojawiła się scena z królową na spadochronie. To było dla mnie osobiście fascynujące doświadczenie, gdyż uczestniczyłem w tej ceremonii jako ataché olimpijski, maszerując z drużyną na stadionie. Nagle zdałem sobie sprawę, że skądś znam te twarze obok mnie; okazało się, że to byli Rolling Stones, którzy za chwilę na tym stadionie mieli wystąpić. Każde miasto gospodarz dodaje coś wyjątkowego, starając się przebić poprzedników. Londyn urzekł większość widzów, prezentując historię Anglii z humorem, a dziś Paryż osiągnął nowe szczyty. Trudno więc dziś sobie wyobrazić, co mogą zaprezentować kolejne miasta, takie jak Los Angeles czy Brisbane. Jednym słowem, otwarcie igrzysk, niezależnie od różnych wątków politycz-

nych i innych kompletnie niepotrzebnych, musi być, bo sport wciąż jeszcze jest ważniejszy od tego, co się dzieje dookoła. Mówię to z własnego doświadczenia; może nie jest prawdą, że sport rządzi światem, ale dla tych wszystkich milionów ludzi, którzy tak jak ja, kochają sport, to on się wydaje być bardzo ważny. I znowu mogę powiedzieć, że mimo iż świat sportu bywa skażony komercją, dopingiem i innymi problemami, to idea olimpijska, zapoczątkowana przez francuskiego barona Pierre'a de Coubertina, przetrwała i wciąż ma swoje pozytywne konotacje.

Lokalizacja igrzysk w centrum Paryża również miała ogromny wpływ na atmosferę, prawda? Szczególnie widoczne to było w kolarstwie, gdzie trasa była pełna kibiców. W Tokio tak nie było.

Proszę pamiętać, że ze względu na pandemię w Tokio nie było to możliwe. Jednak w Londynie, w Hyde Parku, milion ludzi oglądało triathlon, a jeździectwo przy Greenwich Park przyciągnęło tłumy. Jeździectwo dla Anglików jest sportem numer jeden – tak je ocenia całe społeczeństwo. Widziałem przy Greenwich Parku ludzi z napisem na tabliczce: „Kupię bilet za 1000 funtów”. Tyle chcieli zapłacić, żeby wejść do środka. Już kilka dni po ogłoszeniu, że Londyn będzie następnym organizatorem

igrzysk, a było to 7 lat wcześniej, wszystkie bilety na jeździectwo zostały sprzedane do słownie w ciągu dwóch czy trzech minut. Jakiś czas temu tak się stało, żeby przenieść olimpiadę do centrum miasta, ale też nie ma się co oszukiwać, bo to tylko wielkie mocarstwa mogą sobie pozwolić na organizację takiej imprezy. Kiedy byłem jeszcze rzecznikiem prasowym naszej olimpijskiej ekipy w Atenach i kiedy okazało się, że przygotowania do olimpiady stoją pod dużym znakiem zapytania, są problemy w budowie, to na czele składu komitetu olimpijskiego powołano bardzo energiczną kobietę, Giannę Angelopoulos-Daskalaki. A ponieważ bardzo popularnym człowiekiem w Grecji cały czas jest nasz trener Jacek Gmoch, to zaprowadził mnie jeszcze przed olimpiadą do Gianny i zapytałem ją naiwnie, jak to jest możliwe, że Grecja liczy 10 milionów Greków, a igrzyska mają kosztować 10 miliardów dolarów, więc czy to znaczy, że każdy Grek zapłaci 1000 euro?

Co odpowiedziała?

Spojrzała na mnie i powiedziała: „Zwariowałeś? To wy zapłacicie. Chcieliście igrzysk, to będziecie je mieli! Zapłacą Francuzi, Anglicy, Niemcy. I to była brutalna prawda. Zaraz po igrzyskach w Atenach, w Grecji rozpoczął się głęboki finansowy kryzys i właściwie od tamtej pory wiadomo już, że

to tylko bogaci – mówię o letnich igrzyskach, bo zimowe to inna sprawa – tylko bogate kraje mogą sobie na to pozwolić, tak jak Francuzi pozwolili sobie na to, żeby w centrum Paryża zbudować tor do kajaków górskich. To wszystko są wielkie miliony i trzeba było przebudować prawie pół miasta.

Mieszkańcom Paryża to się pewnie mniej podoba?

Raczej się nie podoba, chociaż krytycznych głosów ze strony Francuzów nie słyszę. Oni są szczęśliwi, że zdobywają medale. Ale jeśli chodzi o kraje biedniejsze, to ma pani rację – widziałem to w Brazylii, która była już mocno wycieńczona, bo rok wcześniej przygotowywała mistrzostwa świata w piłce nożnej i też ich te zawody kosztowały ogromnie dużo. W Brazylii na każdym kroku było słyszeć i widać, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto, że ich nie stać, nie stać na igrzyska tego dość biednego narodu. Co tu dużo mówić, nie ma porównania z tymi, którzy będą gospodarzami kolejnych igrzysk, czyli Los Angeles, a następnym Australia też da radę. Nikt inny nie będzie sobie mógł pozwolić na ich organizowanie.

Czy to spowoduje, że w którymś momencie ta idea w ogóle upadnie?

Szczerze mówiąc, dziwię się, że ona jeszcze żyje. Naprawdę byłem przekonany, że dłużej tak być nie może.

Dlaczego?

Ano dlatego, że koszty olimpiady są gigantyczne, a zawodnicy niekoniecznie są nią zainteresowani. Broń Boże, nie chcę mówić o takich dyscyplinach jak bliski memu sercu golf, ale prawdą jest, że zawodnicy przyjeżdżają na dwa tygo-

dnie na olimpiadę, a w tym czasie mają zawody, na których mogą zdobyć o wiele większe pieniądze. Na przykład nasz zawodnik Adrian Meronk, który jest na 50. miejscu światowej czołówki, miesiąc temu wygrał trzydniowe zawody w golfie za 4 miliony dolarów. To przykład na to, że dla wielu bardziej interesująca jest komercja niż sama idea; oczywiście nie mówię, że dla wszystkich, bo nie chcę tu nikogo skrzywdzić.

Trudno byłoby sobie wyobrazić świat bez igrzysk olimpijskich!

Zgadza się, to rzeczywiście trudne do wyobrażenia. Ale warto zauważyć, że już przed porażką Igi Świątek z Chinką wiele najlepszych tenisistek wycofało się z olimpiady. To zjawisko widoczne jest w wielu dyscyplinach, gdzie zawodnicy wolą startować w innych zawodach, oferujących większe nagrody pieniężne. Na razie jednak brak igrzysk nam nie grozi. Ateny miały swoje problemy, Chińczyków nawet nie pytamy, ile wydali – bo to było następne igrzyska w Pekinie. Potem Londyn zdźwignął się, żeby wybudować ogromną wspólną dzielnicę na poprzemysłowym terenie. Kosztowało to miliardy funtów. Ale dzisiaj, właśnie na przykładzie Londynu, widzimy, że inwestycje te przynoszą długofalowe korzyści, takie jak odnowienie terenów poprzemysłowych, które teraz służą społeczeństwu, tam odbywają się szkolne zajęcia i różne inne imprezy, które przynoszą zyski. Generalnie skazani jesteśmy na to, że tylko najbogatsze kraje mogą sobie pozwolić na organizację tak kosztownych wydarzeń. Możliwe, że w przyszłości kilka państw bę-

TRUDNO MÓWIĆ O
ROZCZAROWANIU, JEŚLI CHODZI
O WYSTĘPY POLAKÓW,
BO MOJE OCZEKIWANIA
NIE BYŁY WYGÓROWANE



FOT. PAP/EPa

Andrzej Person: Iga Świątek, choć przegrała z Chinką, wciąż jest wielką gwiazdą światowego sportu

dzie musiało połączyć siły, aby podołać finansowo. Paryż pokazuje jednak, że igrzyska mogą być znakomicie zorganizowane i transmitowane na niespotykaną dotąd skalę. Dzięki nowoczesnym technologiom możemy teraz śledzić każdy występ, każdą konkurencję, każdego zawodnika, wybierając to, co nas najbardziej interesuje. Nie jesteśmy skazani tylko na państwową czy prywatną telewizję.

Jakie jest Pana największe rozczarowanie tych igrzysk?

Trudno mówić o rozczarowaniu, jeśli chodzi o Polaków, bo moje oczekiwania nie były wygórowane. Jak już powiedziałem, nasza drużyna od lat jest raczej przeciętna. Brałem raz udział w pewnej dyskusji i jakiś dziennikarz powiedział, że to nie było sprawiedliwe, bo w komunie startowali zawodowcy, którzy formalnie pracowali, ale faktycznie poświęcali się wyłącznie sportowi, co dawało przewagę nad amatorami z Zachodu, gdzie w zawodach udział brał konduktor czy sklepikarz. Dziś sport stał się jedną z dróg do promocji kraju i jest to szczególnie widoczne w małych państwach, które zdobywają medale, jak Santa Lucia, Bostwana czy Borundi. Współczesny sport to również inwestycja, często łatwiejsza i bardziej opłacalna niż np. rozwój nauki. Proszę zauważyć, najlepszy polski uniwersytet - Uniwersytet Warszawski jest na 350. miejscu wśród najlepszych uczelni na świecie. No, to oznacza, że powoli się posuwamy w rozwoju.

To jaki obraz polskiego sportu wyłania się z tej olimpiady?

Bardzo średni. Wiele jest tego powodów. Jednym z nich jest zmiana podejścia rodziców,

którzy bardziej skupiają się - i słusznie - na zapewnieniu dzieciom dobrej edukacji i stabilnej przyszłości zawodowej, niż na promowaniu sportowej kariery. W przeszłości, dla osób z mojego pokolenia, sport był jedyną z nielicznych dróg do osiągnięcia sukcesu, jeśli nie miało się talentu, żeby grać Chopina na fortepianie albo nie miało się naukowych uzdolnień. Dzisiaj to się już zmieniło. Rodzice często wybierają inną drogę dla swoich dzieci. Ale są też rodzice świadomi, jak pan Świątek, czy inni, którzy słyszą od trenerów, że ich dziecko, córka albo syn, ma ogromny talent sportowy, no to robią wszystko, aby to w nich rozwijać, zapożyczają się, szukają sponsorów. Ale takich sportowców, którzy odniosą sukces, jest kilkunastu, a obok nich są tysiące, którzy tych upragnionych wyników nie osiągną.

Wojciech Nowicki po swojej porażce w rzucie młotem powiedział, że on ma 35, a razem z nim startują zawodnicy, mający 20-25 lat. Zastanawiał się, gdzie są jego następcy.

To rzeczywiście część problemu, ale nie jedyna. Struktury organizacyjne sportu w Polsce są źle zorganizowane. Nie chcę wskazywać palcem na konkretne związki, ale posłużę się przykładem. Na igrzyskach w Atlancie w 1996 roku Polacy zdobyli wiele medali w zapasach - trzy złote, jeden brązowy i jeden srebrny. Ówczesny minister sportu, Stanisław Paszczyk, który znał się na sporcie świetnie, moge tak powiedzieć, bo też wtedy się przy sporcie kręciłem, uznał, że zapasy są naszą wielką nadzieją i postanowił przeznaczyć na nie większość środków. Teoretycznie miał rację. W praktyce, jak

pani mnie spyta, ile medali od tego 1996 roku do dzisiaj zdobyliśmy w zapasach, to mogę pani powiedzieć, że jeden. A pieniędzy poszło - na obozy, zgrupowania, na co tylko chcieliśmy. I się nie udało. Podobnie było z pływaniem. Otylia Jędrzejczak, jak pani pamięta zdobyła trzy medale na jednych igrzyskach w Atenach. Mówiono wtedy: „Dajmy pieniądze na pływanie, to będzie nasz sport narodowy”. No i ile medali zdobyliśmy do tej pory? Kilka dni temu w finale po raz pierwszy wystąpiła Katarzyna Wasick, która zresztą mieszka w Ameryce i trenuje w Ameryce, a nie w Polsce, ale jest Polką. A Otylia sama dziś jest prezeską Polskiego Związku Pływackiego, wie wszystko, co trzeba zrobić, żeby mieć medale. Niestety, od tamtej pory nie udało się zdobyć kolejnych medali.

W czym więc tkwi problem?

Gdybym znał odpowiedź, byłbym mistrzem. Myślę, że problem leży w wielu naszych cechach narodowych, w tym - w braku konsekwencji.

Czy to znaczy, że mamy gen przegrywania w sobie? Wolimy przegrać z tego powodu, że się przegrało?

Nie chodzi o to, że mamy „gen przegrywania”, ale raczej brakuje nam cierpliwości i zdolności do długofalowego planowania. W sporcie potrzeba czasu, by osiągnąć sukcesy na najwyższym poziomie, ale często oczekujemy natychmiastowych rezultatów. Jeśli rodzice nie mają pieniędzy ani wsparcia sponsora, to jest bardzo trudne, nawet jeśli ich dziecko jest utalentowane. Koszty codziennych treningów, czy to na korcie tenisowym, czy w basenie, są ogromne. Kluby sportowe pomagają, na ile mogą, ale

one również borykają się z brakiem środków. Tymczasem minister sportu często koncentruje się na wspieraniu dyscyplin, które już przynoszą medale, zamiast inwestować w rozwój przyszłych talentów. To krótkowzroczne podejście, które utrudnia długofalowy rozwój polskiego sportu. Trzeba wspierać tych, którzy może za 5 lat będą kandydatami do medali.

Jak interpretuje Pan sukcesy takich małych krajów jak Irlandia, licząca zaledwie 5 milionów mieszkańców, a zdobywająca medale czy Ukraina, która przecież toczy wojnę?

Prawdą jest, że kraje postradzieckie zawsze były mocne sportowo, ponieważ w czasach komunizmu przywiązywano ogromną wagę do sportu jako narzędzia propagandy. To dziedzictwo w pewnym sensie przetrwało.

Może w Polsce jesteśmy mniej zdeterminowani, by osiągać sukcesy sportowe?

Możliwe. Ale też coraz częściej słyszę, że rodziny nie mogą sobie pozwolić na wysłanie dzieci do najlepszych szkół sportowych ze względu na koszty. Tradycje sportowe również odgrywają tu rolę - na przykład Irlandia, będąca częścią brytyjskiego dziedzictwa sportowego, ma silne korzenie w wielu dyscyplinach. Przykładem może być Wielka Brytania, która po igrzyskach w Sydney w 2000 roku, gdzie zdobyła tylko jeden złoty medal, uznała to za porażkę. W odpowiedzi rząd brytyjski zainwestował ogromne środki w sport, przygotowując się do igrzysk w Londynie w 2012 roku. Te inwestycje przyniosły efekty - Brytyjczycy zdobyli liczne medale, m.in. w kolarstwie torowym, które wcześniej nie było popu-

larne. W Londynie zdobyli około 10 złotych medali w tej dyscyplinie. To pokazało, że odpowiednie wsparcie finansowe i treningowe może przynieść sukces.

Która dyscyplina w Polsce ma potencjał na zdobycie większej liczby medali?

To bardzo dobre pytanie. Już częściowo o tym wspomniałem - kiedyś wydawało się, że taką dyscypliną są zapasy, zwłaszcza po sukcesach w 1996 roku. Później, po trzech medalach Otylii Jędrzejczak w pływaniu na igrzyskach w Atenach, myśleliśmy, że to pływanie stanie się naszą specjalnością. Niestety, brak cierpliwości, problemy organizacyjne i inne czynniki uniemożliwiły nam zbudowanie silnej pozycji w tych dyscyplinach.

Może kolarstwo, jako medalodajna dyscyplina, ma potencjał na większy rozwój?

O, świetnie! Kolarstwo w Polsce wywodziło się ze wsi, kiedyś Szurkowski i wszyscy inni kolarze pochodzili ze wsi i mogli oni z tych swoich małych grajdółków, jak Szurkowski spod Wrocławia, wyjechać wielki świat tylko na rowerze. Nie miał innych szans ten, kto nie był Einsteinem. Teraz jednak są inne możliwości. Mało tego - wielu utalentowanych ludzi wyjechało z Polski, szukając lepszych możliwości za granicą. To także wpłynęło na sytuację w polskim sporcie. Na koniec, muszę jednak powiedzieć, że dla przeciętnego Polaka sukcesy sportowe mają dziś mniejsze znaczenie niż kiedyś. Oczywiście, zawsze miło jest, gdy Polak zdobywa medal, ale nie jest to już tak ważne dla społeczeństwa jak kiedyś. Kiedyś sport, jak Wyścig Pokoju, budził ogromne emocje. Mówiło się, że górnicy więcej węgla wydobywali, jak gołe strzelali piłkarze Górnik Zabrze. Teraz już tak nie jest. Teraz te emocje są mniej intensywne i krótkotrwałe. Choć nadal interesujemy się i będziemy się interesować sportowcami, takimi jak Iga Świątek, bo, nawet jeśli przegrała, to jest wielką gwiazdą.

Zna Pan historię sportowca z tej olimpiady, która zasługuje na większą uwagę mediów i kibiców?

Generalnie, jesteśmy narodem, w którym cechą decydującą jest „chciejstwo” - chcemy sukcesów bez solidnych podstaw. Oczekujemy złotych medali, ale nie zawsze mamy do tego wystarczające umiejętności i waleczność. Zawodnicy często mają różne warunki przygotowań - niektórzy mają lepszy sprzęt, dłużej trenują na zgrupowaniach, ale brakuje im naturalnego talentu, który mają inni. Dlatego, zamiast krytykować piąte czy siódme miejsce, powinniśmy docenić

każdy wysiłek. W Polsce liczy się tylko zwycięstwo i medal. Inaczej jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie sport uprawiają wszyscy, a możliwości są znacznie większe. Dlatego cieszymy się z miejsc w pierwszej dziesiątce. Weźmy przykład Igi Świątek - cała Polska była oburzona jej porażką, mimo że przez trzy lata wygrywała największe turnieje. Jedno niepowodzenie nie powinno przesłaniać jej osiągnięć.

Liczy się to, że zdobyła medal olimpijski.

Oczywiście, zdobycie brązowego medalu to ogromne osiągnięcie. Daj Boże każdemu takiego sukcesu.

Polska powinna zainwestować więcej w organizację międzynarodowych imprez sportowych, które promowałyby sport i przyciągały młode talenty?

Oczywiście, to dobry kierunek. Sam na przełomie wieków brałem udział w przygotowaniach do igrzysk w Zakopanem. Niestety, to przedsięwzięcie nie zostało potraktowane poważnie, to była kpina i żart. Szanse były duże i nikt ich nie poparł. A byliśmy naprawdę bardzo blisko, aby te igrzyska dostać. Organizacja letnich igrzysk olimpijskich w Polsce jest na razie poza naszym zasięgiem, zwłaszcza w tym okresie, kiedy wciąż odbudowujemy się z wieloletniej komunistycznej zapaści. Ale zimowe igrzyska to inna sprawa - mamy w tej dziedzinie tradycję i sukcesy, jak w przypadku Justyny Kowalczyk czy naszych skoczków narciarskich, którzy wciąż są tematem narodowej dumy. Zorganizowanie zimowych igrzysk jest bardziej realistyczne, zwłaszcza jeśli połączymy siły z innymi krajami, takimi jak Niemcy czy Czechy. Wspólnie moglibyśmy zrealizować takie przedsięwzięcie. To na pewno jest jakiś pomysł na przyszłość.

CV



FOT. CC

Andrzej Person

Dziennikarz i komentator sportowy, z wykształcenia prawnik, były senator. Był rzecznikiem prasowym Polskiego Komitetu Olimpijskiego oraz czterokrotnie rzecznikiem polskich ekip olimpijskich na igrzyskach.

MICHAŁ KŁOSIŃSKI: W XXI WIEKU GRY STANOWIĄ WAŻNY KOMENTARZ SPOŁECZNO-POLITYCZNY

– To bardzo ciekawe, jak gry zaangażowane społecznie penetrują te same rewiry, które często widzimy w klasyce, na przykład literatury dystopijnej czy utopijnej, uważanej za kluczowy komentarz społeczno-polityczny dotyczący problemów XX wieku – mówi dr hab. Michał Kłosiński, prof. UŚ z Centrum Badań Groznawczych Uniwersytetu Śląskiego

Dorota Kowalska

Po co właściwie badać gry cyfrowe? Pan jest jednym z nielicznych, którzy to robią.

W Polsce jest już nas całkiem sporo, rekrutujemy się wszak z wielu różnych dyscyplin. Odpowiadając na pytanie: po co?, a więc z dwóch powodów: dlatego, że ciekawość dotycząca gier jest ciekawością tego, w jaki sposób dzisiaj, przy pomocy zabawy, przy pomocy pewnych reguł gry, konstruujemy światy. Światy, w których marzymy sobie o alternatywach wobec rzeczywistości, światy fantastyczne i światy science fiction. A zatem jest to czysta ciekawość wyobraźni miejsc, w których chcemy przebywać. No i oczywiście drugi powód – badamy gry, bo granie jest czynnością społeczną i poprzez gry mamy dostęp do bardzo dużej części naszego społeczeństwa. Według ostatnich badań ponad 50 procent społeczeństwa gra w gry i mamy w tym względzie coraz większy parytet – w gry gra 51 procent mężczyzn i 49 procent kobiet.

Naprawdę, tyle kobiet gra w gry?!

Tak, mamy praktycznie równość, jeśli chodzi o tę kwestię. Co więcej, ten rozkład się zmienia. Jeszcze dekadę temu, statystycznie więcej grali mężczyźni, bo wcześniej dysproporcja wynosiła około 57 procent do 43 procent. Teraz te wartości są zbliżone. To jest też efekt coraz większego zainteresowania tym medium wszystkich grup wiekowych. Na Akademii Górniczo-Hutniczej prowadzone są od lat fantastyczne, ciekawe badania dra Damiana Gałuszki poświęcone temu, jak światami gier



Kłosiński: Dobrym, świetnie zrobionym serialem, który ukazał się ostatnio, jest serial „Fallout” na podstawie gry

coraz bardziej interesują się seniorzy i seniorzy. Inaczej mówiąc, jak seniorzy grają w gry i jakie ma to znaczenie dla ich życia. Granie to zjawisko, które dotyczy coraz częściej już nie tylko, jak powszechnie myślimy, osób młodych. Ten podział wiekowy zaczyna coraz bardziej przechylać się w stronę pokoleń powyżej czterdziestego, a nawet pięćdziesiątego, sześćdziesiątego, czy siedemdziesiątego roku życia, 80 procent osób grających to osoby dorosłe.

Powiedział pan kiedyś, że gry opowiadają nam o nas samych. Tak jest rzeczywiście?

Tak, to parafraza słynnej definicji kultury Clifforda Geertza. On definiował kulturę jako teksty, w których opowiadamy sami sobie o nas samych. Tak, gry opowiadają o nas. Gry opowiadają o nas fascynujące rzeczy – i bezpośrednio, i pośrednio.

I jaka to opowieść?

Pośrednio przede wszystkim opowiadają o nas jako o istotach społecznych, istotach, które ze sobą rywalizują. Opowiadają o nas przez mechanizmy i ekonomię rozgrywki. Jeżeli przyjrzymy się ekonomii rozgrywki, mechanizmom, które w grach występują, to

w jakimś sensie dostajemy pełen przekrój współczesnego myślenia o ekonomii politycznej i społecznej. Ekonomii zarobków, ekonomii umiejętności, ekonomii zdobywania doświadczenia. Bardzo wiele gier przyjmuje dzisiaj tę ramę zdobywania doświadczenia, punktów – to, co ponad 20 lat temu marketing odkrył jako gamifikację.

Dla tych, którzy nie wiedzą – gamifikacja to zastosowanie mechanizmów ze świata gier w obszarach, które z grami dotychczas nie były łączone, takich jak edukacja, rozwój, biznes.

Tak, więc jeśli badamy dzisiaj gry, to one stanowią krzywe zwierciadło, w którym widzimy, w jaki sposób myślimy o podmiotowości człowieka. O tym, jak człowiek się rozwija, zarządza czasem, umiejętnościami, życiem. Jest to niezwykle ciekawe badawczo – mówimy bowiem o tym, że patrząc na gry, widzimy obraz naszej współczesności dotyczący rozwoju ludzkiego, nabywania umiejętności, zdobywania kapitału. I to kapitału w szerokim tego słowa znaczeniu: symbolicznego, ekonomicznego, kulturowego. To najlepiej chyba widać w grach RPG – gdzie mamy wyraźny

system levelowania, czyli zdobywania poziomów, zdobywania doświadczenia, które przekłada się na punkty itd., itd. Ich elementy przenikają dzisiaj praktycznie wszystkie gatunki gier.

A co gry mówią o nas w sposób bezpośredni?

Przed wszystkim każda gra, której się przyglądamy badawczo, czyli w perspektywie groznawstwa, mówi nam o nas coś innego. Dam przykład: gra „Horizon: Zero Dawn” – mówi nam o tym, że marzymy o odтворzeniu natury przy pomocy techniki. Inna gra, myślę o studiu 11 bit i o ich „This War of Mine”, która opowiada o oblężeniu Sarajewa, mówi nam o tym, że w wojnie najważniejsza nie jest walka, a troska o siebie nawzajem.

Na podstawie gier, w które gramy możemy powiedzieć, jakim jesteśmy społeczeństwem?

Trochę tak i trochę nie. To zależy, ponieważ rzadko kiedy możemy powiedzieć, że wszystkie gry mówią nam, jakim jesteśmy społeczeństwem. Można powiedzieć o konkretnych grach nawiązujących do jakichś konkretnych problemów, że stanowią diagnozę społeczną. Tak było, kiedy ukazała się po raz pierwszy gra „Papers Please”, która jest grą sytuującą nas w roli takiego strażnika granicznego w państwie totalitarnym. Ta gra jest krytyką systemu i pewnego sposobu myślenia o migracji.

To gry z gatunku tych społecznie zaangażowanych, prawda?

Tak. To gry społecznie zaangażowane, ale też przyjemne gry do grania. Kapitałnymi grami, również społecznie zaangażowanymi są dwie gry „Orwell”, niemieckiego studia Osmotic, które nawiązują do „Roku 1984” Erica Arthura Blaira i stanowią komentarz dotyczący współczesnego społeczeństwa, inwigilacji, społeczeństwa medialnego, w którym informacja stała się bronią wykorzystywaną przez obywateli i rządy. Z tej broni może skorzystać także państwo totalitarne. To bardzo ciekawe, jak gry zaangażowane społecznie penetrują te same rewiry, które często widzimy w klasyce, na przykład literatury dystopijnej czy utopijnej, uważanej za kluczowy komentarz społeczno-polityczny dotyczący problemów XX wieku.

Dzisiaj gry pełnią taką rolę?

Tak, dzisiaj, w XXI wieku, gry stanowią ważny komentarz społeczno-polityczny. Porównywalny do tego, jaki kiedyś pełniły takie powieści jak wspomniany już wyżej „Rok 1984”. Możemy to powiedzieć nie tylko w stosunku do gier zaangażowanych społecznie,

FOT. MATERIAŁ PRASOWE AMAZON

możemy to również powiedzieć o produkcjach AAA, czyli tych najbardziej kasowych molochach stworzonych przez wielkie korporacje. Bo nie możemy im odmówić pewnego zaangażowania czy komentowania wydarzeń społecznych. I nie mówię tu tylko o żartach, które się w tych grach mogą pojawiać, jak w przypadku Wiedźmina III, w którym padają wyrażenia: „spieprzaj dziadu” czy satyryczne pytanie „Gdzie jest Prawo i Sprawiedliwość”, czyli ewidentnego puszczania oka do osób grających. Myślę tutaj raczej o tym, że w każdej współczesnej grze możemy czytać i powinniśmy czytać istotny element tkanki kulturowo-społecznej, w której funkcjonujemy. Gry nie istnieją poza kulturą, z której wyrastają i którą współtworzą. Gry mówią o nas coś jeszcze.

Tak?

Mówią o nas, że jesteśmy jednostkami twórczymi, które ciągle poszukują jakiejś wizji alternatywy do świata, w którym żyjemy. Mówią, że jesteśmy cały czas jednostkami artystycznie szukającymi nowych form ekspresji. One w jakiś sposób pokazują nam najbardziej pierwotny element kultury. Kultura wyrasta z zabawy i gier, a one mówią nam, że jesteśmy jednostkami, które ciągle szukają przekraczania granic, wychodzenia z marazmu istnienia.

O tym, jak ważne kulturowo i społecznie są gry, świadczy fakt, że na podstawie niektórych powstały filmy, prawda? Mamy dosyć dużo produkcji, które nawiązują do gier. Tu pojawia się pytanie, czy to, że na podstawie jakiejś gry powstanie film czy serial, od razu powoduje, że mamy do czynienia z jakąś nobilitacją. Tak, pod warunkiem że serial jest dobry. Dobrym, ciekawym, świetnie zrobionym serialem, który ukazał się ostatnio, jest serial „Fallout”, który nawiązuje do produkcji Bethesda Game Studios, i który jest reżyserowany w porozumieniu z twórcami serii. To właśnie Bethesda stworzyła trzecią, czwartą i piątą (Fallout 76) grę w serii „Fallout”. Bo, jak wiemy, twórcami oryginalnej gry komputerowej „Fallout”, która pojawiła się po raz pierwszy w 1997 roku, są przede wszystkim Tim Cain i Leonard Boyarsky. Ta gra była wtedy absolutnym retrotopijnym remiksem kulturowym, który nawiązywał do kultury lat 50., 60., 70. Stanów Zjednoczonych, do zimnej wojny, wyobrażeń dotyczących wojny atomowej, atomowej apokalipsy. Z jednej strony „Fallout” uruchamiał wszystkie te lęki związane z zimną wojną i konfliktem atomowym, a z drugiej strony odwoływał się do całej

klasyki kina science fiction, amerykańskiej kultury tego czasu, zachwytu energią atomową, czy lęku przed atomową zagładą.

Można by zaryzykować stwierdzenie, że gry cyfrowe są taką literaturą XXI wieku? Tak! Gry to pewna forma medialna, która, przynajmniej w wersji cyfrowej, jest stosunkowo nowa, ale przecież gry towarzyszą nam od zarania dziejów, w ich analogowej formie, towarzyszą nam od momentu, kiedy zeszliśmy z drzewa. Nie wspominałem jeszcze o tym, ale należy rozróżnić gry od zabawy. Gry stanowią pewną sformalizowaną, uregulowaną formę zabawy. Nie są czystą zabawą, rozumianą jako pewien impuls, popęd, pewien naturalny element naszego funkcjonowania w świecie zwierząt. Bo jak wiemy, jesteśmy zwierzętami bawiącymi się, stąd tytuł słynnej rozprawy o zabawie jako źródle kultury, czyli „Homo ludens” Johana Huizingi. Badania poznawcze, badania społeczne, badania antropologiczne pokazują nam wyrażenie, że po tym względem zabawa, która jest pierwotną i kulturotwórczą formą ekspresji, leży w naszej naturze.

Panował ogromny strach przed grami. Psychologowie, eksperci ostrzegali przed uzależnieniem od nich. To strach uzasadniony? Na pewno. To znaczy, wiele leków, które w sobie nosimy znajduje uzasadnienie. Tak samo jak mieliśmy wiele leków przed sadzaniem dzieci przed telewizorem, kiedy telewizor stał się ośrodkiem życia domowego, mieliśmy wiele leków przed podawaniem dzieciom słodczy, które stały się powszechne na rynku, a dostęp do cukru stał się plagą XX i XXI wieku. Na pewno pewne lęki są uzasadnione i w przypadku gie jest podobnie. Gry mogą być niebezpieczne chociażby ze względu na przeładowanie sensoryczne. Jeżeli mamy grę, która w bardzo szybkim tempie bombarduje nas światłem o wielu barwach, ruchem i działaniem, to musimy sobie wyobrazić, co się dzieje z systemem poznawczym osoby niegotowej na takie bombardowanie.

Niektórzy podkreślają, że młodzi ludzie tracą kontakt z rzeczywistością, grając w gry. Wychodzą potem z domu, wchodzą do szkoły i zaczynają strzelać, bo wydaje im się że wciąż siedzą przed konsolą. To były lęki, które okazały się nieuzasadnione. Mniej więcej od dwudziestu lat psychologowie i psycholożki prowadzą regularne badania nad relacją pomiędzy grami i przemocą. Co roku mamy takie trzy, cztery

GRY STAJĄ SIĘ DETEKTOREM TEGO, ŻE COŚ DZIEJE SIĘ NIE TAK I JEDNOCZEŚNIE STANOWIĄ NAJBEZPIECZNIEJSZE PRZESTRZENIE DLA OSÓB, KTÓRE CIERPIĄ

badania i żadne z nich nie potwierdza tego, że gry prowadzą do przemocy. Natomiast mamy inne, bardzo istotne informacje - zbyt częste granie prowadzi do zaburzeń naszych relacji społecznych. To pierwsza rzecz. Po drugie - granie w gry, które mogą wiązać się z przemocą ujawnia raczej problemy, które kreuje, a) środowisko rodzinne, b) środowisko szkolne. Można by powiedzieć, że gry stają się detektorem tego, że coś dzieje się nie tak i jednocześnie stanowią najbezpieczniejsze przestrzenie dla osób, które cierpią. To, co nazywamy ucieczką w grę, może wskazywać na problemy rodzinne, szkolne, rówieśnicze - tu bym widział właściwy problem idący tropem badań szukających korelacji i relacji przyczynowo-skutkowych między graniem „niezdrowym” a sytuacją społeczną człowieka. Natomiast ta „ucieczka” może mieć często charakter wzmacniający, leczący i terapeutyczny.

Wiem, że naukowcy z Uniwersytetu w Oksfordzie przebadali pięć tysięcy chłopców i dziewcząt w wieku 10-15 lat, którym pozwolili grać godzinę w gry cyfrowe. Okazało się, że są bardziej społeczni, mniej nadpobudliwi, bardziej otwarci niż ich rówieśnicy, którzy w gry nie grali. Tak, ale myślę, że te wyniki nie są niczym nadzwyczajnym. Z mojej perspektywy pozytywny wpływ gier na zachowania prospołeczne, na empatię, na wrażliwość, uspołecznienie jest wręcz oczywisty. Mamy na ten temat szereg badań. Badania nad zabawą, nad grami w ogóle, to badania również nad tym, w jaki sposób przy pomocy gier możemy niwelować negatywne skutki zaniedbań edukacyjnych czy wychowawczych. Podobnie jest z grami wykorzystywanymi w rehabilitacji, bo możemy używać gier do rehabilitacji poznawczej, ruchowej, a Jane McGonigal używa ich w swojej metodzie walki z depresją. Gry mają niesamowitą wartość, bo potrafią budować z nas świetny zespół. O tym mówi się od lat - odkryliśmy, że efektem ubocznym grania jest fakt, że jesteśmy lepiej ze sobą zgrani, że zaczynamy lepiej funkcjonować w zespole, lepiej znamy swoje miejsce i rolę w grupie. To niewątpliwie plus czy atut gier. Badanie, które pani przywołuje, jest także ciekawe, bo pokazuje, że

problem nie leży w grach per se, tylko w czasie zaangażowania. Uwielbiam tę metaforę kulinarą: jeżeli będziemy od czasu do czasu jeść pączka, to raczej nie podupadniemy na zdrowiu. Ale jeśli sprowadzimy całą naszą dietę do jedzenia pączków, to będziemy mieć poważne problemy zdrowotne. Myślę, że podobnie jest z grami. Jeżeli w naszej diecie kulturowej będziemy się odzywać tylko i wyłącznie grami, to wpadniemy w bardzo niebezpieczny, niehigieniczny tryb życia.

Czego nas uczy i co nam daje granie w gry cyfrowe? Ta lista jest długa. Po pierwsze - granie daje nam odskocznnię. Myślę, że ta odskocznia jest niesamowicie istotna w rzeczywistości, w której coraz częściej nasza aktywność toczy się w świecie cyfrowym, w którym musimy nieustannie kontrolować swój wygląd, zarządzać uwagą otoczenia (zbierać lajki). Można by powiedzieć, cytując profesora Tadeusza Sławka, że żyjemy w kulturze narcyzmu. Tworzymy profile, na których generujemy swoje odbicia. I w jakiś sposób staramy się tymi odbiciami zachęcić innych, żeby nas polubili. Przesunęła się granica pomiędzy tym, co intymne i ekstymne, czyli tym, co najbardziej prywatne i czego nie chcemy pokazywać innym, a tym, co jest na pokaz. Gry dają nam odskocznnię od tej kultury, jednocześnie będąc jej zwierciadłem.

Dlaczego?

Dlatego że w grach cyfrowych wkraczamy do przestrzeni magicznego kręgu, czyli tej przestrzeni, w której zawieszamy to bycie w kulturze ciągłego sprzedawania swojego wizerunku - bawimy się swoimi awatarami w bardziej kontrolowanych warunkach i na znanych zasadach. To jeden z mocniejszych i ważniejszych elementów grania, czyniący z nich zjawisko niezwykle pozytywne. Oprócz tego, jeśli myślimy o grach cyfrowych - przede wszystkim dają nam one możliwość poznania, w wariacie wieloosobowym, osób z innych kultur, rozegrania z nimi partii, zbudowania relacji. Bardzo często poznania ich języka. Sam jestem zwolennikiem zasady, że jeżeli chcemy się nauczyć jakiegoś języka, to trzeba dołączyć do jakiejś wspólnoty nim mówiącej i z nimi grać. Gry cy-

frowe uczą nas również procedur. To coś, o czym nie możemy zapominać - gry uczą nas proceduralnego myślenia. A odczytanie w procedurach pozwala nam lepiej funkcjonować w rzeczywistości. Dlaczego? Dlatego, że coraz bardziej nasza rzeczywistość opiera się na mechanizmach growych, np. na interfejsach, które w grach są wszechobecne - one stają się także niesłychanie istotne w naszej przestrzeni życiowej. Praktycznie nie wychodzimy z domu bez telefonu, a nasze życie przenikają mechanizmy rodem wyjęte z gier, których jest coraz więcej. Rozpoznanie tych mechanizmów, zasad działania i myślenia, oraz ich opanowanie powoduje, że lepiej czytamy rzeczywistość, w której funkcjonujemy. Po nieważ gry opierają się na procedurach upraszczających i symulujących realne procesy, to granie w gry porównać można do eksperymentowania z logiką przyczynowo-skutkową. Można zresztą wymieniać dalej...

Proszę wymienić! Co jeszcze?

Gry uczą nas także samokontroli, determinacji, motywowania się do przekraczania granic i pokonywania wyzwań. Jak mówi definicja Bernarda Suitsa, granie to „dobrowolne pokonywanie niekoniunkturalnych / zbędnych przeszkód”. Gry tego nas właśnie uczą: opanowania siebie, kontroli nad emocjami, pewnego zdystansowania się również w obliczu przegranej i dobrowolnego podejmowania wyzwań, które są zbędne, wymyslane, nie wynikają z konieczności naszego codziennego życia. To jest paradoks, ponieważ gry bazują na tym, co nazywamy immersją, czyli zanurzeniem. One nas wciągają w swoje światy, uczą nas głębokiego przeżywania i doświadczenia czegoś, czego sami być może nie doświadczylibyśmy w rzeczywistości. Ten efekt zanurzenia powoduje, że jesteśmy w stanie postawić się w roli kogoś innego. A zatem, jak już mówiłem, uczymy się innej perspektywy, współodczuwania, słowem - ćwiczymy pewną wrażliwość.

Widzi pan jakieś negatywy grania?

Tak, na pewno, jeżeli myślę o graniu ekscesywnym, czyli takim graniu, które powoduje, że zaburzają się nasze relacje społeczne, jest to bez wątpienia element negatywny. Myśląc o negatywnych stronach grania, na pierwszy plan wysuwa się pojęcie „dark play” - mrocznej gry. To pojęcie, które opisywał między innymi Richard Schechner w „Performa-tyce”, gdzie mówi o tym, że jest rodzaj gier, które bazują na rozgrywaniu innych wbrew ich woli, na wykorzystaniu,

czy wyzyskaniu jednostki, która niekoniecznie zdaje sobie sprawę z tego, że jest w grze. Do takich gier zaliczają się wszystkie gry bazujące na sadomasochizmie. To są wszystkie te gry, w których celem gry jest uwiedzenie, zranienie, zniszczenie kogoś. Temu aspektowi poświęcona jest cała praca zbiorowa pod redakcją Jonasa Linderotha oraz Torill Elviry Mortensen, która dotyczy różnych aspektów „dark play”, bo „dark play” pojawia się nie tylko w grach cyfrowych, ale w różnych przestrzeniach społecznych. Może ona w swoich skrajnych odmianach przebiegać formy bullyingu czy cyberbullyingu. To byłby w mojej ocenie najbardziej negatywny aspekt grania - moment, w którym pewne negatywne zachowania społeczne przenikają do gier i są praktykowane w ich światach. Trzeba natomiast zaznaczyć, że zjawisko mrocznej czy ciemnej gry nie jest jednoznacznie negatywne i może być wykorzystywane w charakterze pozytywnego sprzeciwu, subwersji, naginania i przekraczania zassanych norm i granic.

Ale warto grać?

Oczywiście! Jak już mówiłem, gry bardzo mocno wpływają na nasze proceduralne odczytanie. Są istotną częścią naszej kultury, zbliżają nas do innych ludzi, myślę tu i o grach cyfrowych i o grach planszowych, jeszcze bardziej związanych ze społecznym aspektem grania. I przede wszystkim warto grać, bo gry towarzyszą nam od zarania dziejów i są absolutnie podstawą czynnością kulturotwórczą i edukacyjną człowieka. Jeśli szkoła jest awerssem edukacji, to zabawa i gry są jej rewersem. Bawiąc się więc i grając, uczymy się, doświadczaamy, poznajemy - wchodzimy na wyższe poziomy, doskonalimy siebie.

CV



Michał Kłosiński: Inicjator i dyrektor Centrum Badań Groznych. Aktywny członek Utopian Studies Society oraz The Society for Utopian Studies. Podczas studiów doktoranckich uczestniczył w paryskim Programie Teorii Krytycznej. Autor wielu artykułów i prac naukowych.

POLSKA KOBIETA PAJĄK, KTÓRA WSPIĘŁA SIĘ NA WYŻYNY SPORTU

Przypadki naszej złotej medalistki z Paryża Aleksandry Mirosław to gotowy scenariusz na film z happy endem. Z tym, że jej historia jeszcze wcale się nie zakończyła. Na igrzyskach – zanim sięgnęła po tytuł mistrzyni olimpijskiej – dwa razy w odstępie kilkunastu minut pobiła rekord świata, ale nic nie wskazuje, aby miała zaniechać poprawiania swego najlepszego rezultatu

Kamil Wojdat, Adam Godlewski

W poniedziałkowych eliminacjach konkursu olimpijskiego w Paryżu najpierw poprawiła własny rekord o 0.03 sekundy, a kilkanaście minut później o kolejne 0.15 sekundy. Mierząc 15 metrów ściankę pokonała w czasie 6.06 sekundy! To już trzynasty raz przy jej nazwisku zapaliły się literki WR, oznaczające najlepszy wynik na świecie. Tymczasem kilka lat temu była bliska zakończenia sportowej kariery.

- W 2016 roku poświęciłam wszystko dla sportu. Przeprowadziłam się nawet do Tarnowa (w rodzinnym Lublinie nie było bowiem ścianki wspinaczkowej - przyp. red.), ale to nie wystarczyło i na mistrzostwach świata w Paryżu zajęłam czwarte miejsce. Potem podjęliśmy decyzję, że przygotujemy się na mistrzostwa Europy, ale w trakcie mistrzostw doznałam kontuzji. To był moment zwrotny w mojej karierze - wspominała w rozmowie z „Kurierem Lubelskim” Ola. - Pamiętam, że wtedy postanowiliśmy, że ostatni raz spróbujemy. I wydaje mi się, że gdyby w Innsbrucku mi się nie udało (w 2018 roku Mirosław zdobyła pierwszy tytuł mistrzyni świata - przyp. red.), to dzisiaj nie byłabym w miejscu, w którym jestem. Nie miałabym już sił na to wszystko. Ale w Austrii zdobyłam tytuł, mieliśmy też w końcu supermiejsce do treningów, więc zabrakło argumentów, żeby odpuścić - dodała po wywalczeniu drugiego w karierze mistrzostwa świata.

Początki w basenie

W tym miejscu warto dodać, że nasza złota medalistka z Paryża już przed igrzyskami była sportsmenką utytułowaną - to dwukrotna mistrzyni świata we wspinaczce sportowej na czas (2018 Innsbruck i 2019 Hachioji) i dwukrotna złota medalistka mistrzostw Europy (Edynburg 2019 i Monachium 2022). W dorobku ma także



Na igrzyskach w Paryżu Aleksandra Mirosław już po raz trzynasty pobiła rekord świata. Do tego dołożyła pewnie zdobyty złoty medal

kilka innych cennych krążków, choćby srebro Igrzysk Europejskich (Kraków 2023), a także trzy tytuły mistrzyni świata juniorek. Myła się jednak wszyscy, którzy sądzą, że ukształtowała się na ścianie wspinaczkowej. Zaczynała bowiem od... pływania. W wieku 7 lat.

- Przez całą szkołę podstawową trenowałam w basenie, ale pod koniec nie sprawiła mi to już frajdy. A sto procent albo przestaję się tym zajmować. Dlatego, idąc do gimnazjum, zakomunikowałam rodzicom, że już nie będę pływać - wspominała Ola w naszym podcaście, którego bohaterami były największe gwiazdy polskiego sportu. - Wówczas, a był to rok 2007, rodzice podsunęli mi pomysł, abym spróbowała wspinaczki. Propozycję przyjąłam bez namysłu, bo tę konkurencję trenowała już moja starsza siostra Gosia. Chciałam jej pokazać, że też dam radę, i chciałam, aby była ze mnie dumna. W ogóle nie myślałam o rywali-

zacji z siostrą. Niestety, jako juniorka raz musiałam ścigać się z Gosią, a stawką był brązowy medal mistrzostw Polski seniorek. Myła się jednak wszyscy, którzy sądzą, że ukształtowała się na ścianie wspinaczkowej. Zaczynała bowiem od... pływania. W wieku 7 lat.

Strażacka remiza drugim... domem

Pierwsze treningi na ściankach wspinaczkowych Ola odbywała w Skarpie w Lublinie. Od 2014 roku reprezentuje barwy klubu KW Kotłownia Lublin. Sukcesy w rywalizacji seniorek zaczęła odnosić już w 2012 roku. Wówczas zwyciężyła po raz pierwszy w zawodach Pucharu Świata, ale... w rodzinnym mieście w komfortowych i w pełni profesjonalnych warunkach może trenować zaledwie od lat trzech. Wła-

śnie wtedy oddano do użytku halę sportową Uniwersytetu Medycznego, której elementem jest między innymi 15-metrowa ścianka (obiekt gościł już nawet zmagania Pucharu Europy).

Wcześniej tak kolorowo nie było. Najpierw polska kobieta pająk jeździła wykucwać formę do Tarnowa, a potem na pewien czas nawet się tam przeprowadziła. Do Lublina jednak wróciła, a swoje miejsce po powrocie znalazła w... strażackiej remizie.

- Atmosfera, jaką tworzą tam strażacy, jest świetna. Gdy tylko wchodzę, to czuję się jak w domu. Zawsze mam z kim porozmawiać, z kim się pośmiać. Klimat tej remizy zawsze napawa mnie uśmiechem. Wiem, że chłopaki oglądali zawody i mi kibicowali. To fajne i budujące - przyznawała po wywalczeniu pierwszego tytułu mistrzyni świata. - Mówiąc „remiza” wszyscy wyobrażają sobie, że trenuję nie wiadomo w jak złych warunkach. A tak naprawdę, to chociaż miejsce, w którym znajduje się ściana,

jest starą halą, to ją bardzo lubię tam przebywać. Nie mam poczucia, że muszę trenować w najlepszych obiektach. Doceńmam, że w ogóle mam gdzie teraz ćwiczyć. To już dla mnie komfort, że mogę wyjść z domu i pójść na trening.

Potrafi poskarżyć się mężowi na... trenera

Od tamtego czasu zmieniło się wiele w życiu Oli, ale niezmienna pozostaje osoba trenera Mateusza Mirosława, a prywatnie męża Aleksandry, który jest dla niej nieocenionym wsparciem.

- Gdyby nie Mateusz, na pewno nie byłabym w tym miejscu, w którym jestem teraz. Przede wszystkim był jedyną osobą, która wierzyła w sukces od początku do końca, pomimo porażek, które musiały zdarzyć się po drodze - mówi mistrzyni olimpijska, świata i Europy.

Zapytana, czy nie czuje się troszkę poszkodowana w porównaniu do innych sportsmenek, bo nie może mężowi wyzalić się na... trenera, Aleksandra odpowiada bez wahania: - O, i tu każdy mógłby się zdziwić. To także potrafię!

A żalić się byłoby na co, ponieważ trening wspinaczki sportowej do najprzyjemniejszych nie należy. Ola ma - z reguły - w tygodniu tylko jeden wolny dzień, niedzielę. Za to aż 8 treningów. W zależności od cyklu startowego, cztery, a nawet pięć razy ćwiczy w siłowni, do 2,5 godziny na każdych zajęciach. Pozostałe trzy, cztery zajęcia odbywa na ścianie, i te trwają nawet do półtorej godziny.

- W górach od dawna się nie wspinam. Nie mam uprawnień, a nawet umiejętności. A w takiej sytuacji nie byłoby to bezpieczne - stwierdziła kategorycznie nasza mistrzyni we wspomnianym podcaście. - Po raz ostatni w skałkach byłam jeszcze jako juniorka, ale przy mojej wąskiej specjalizacji dziś byłoby mi to zupełnie nieprzydatne. Mogłabym to robić ewentualnie dla przy-

jemności, ale w czasie wolnym uciekam jak najdalej od wszystkiego, co związane jest ze wspinaniem się.

Debiut olimpijski nie przyniósł rozczarowania

Podczas pamiętnych dla Oli mistrzostw świata w Innsbrucku (2018), zapewniła ona sobie również kwalifikację na swe pierwsze igrzyska olimpijskie. W Tokio (2021) debiutowała zresztą nie tylko Mirosław, ale w ogóle wspinaczka sportowa, jako dyscyplina olimpijska. Tyle że rozgrywana była w... trójboju, podczas gdy specjalnością Oli jest wyłącznie wspinaczka na czas. Zawodniczka Klubu Wspinaczkowego Kotłownia w Lublinie - mimo że w czasówce podobnie jak kilka dni temu w Paryżu ustanowiła rekord świata - zajęła „dopiero” czwarte miejsce. Brak medalu nie był jednak dla sportsmenki rozczarowaniem. Występ Oli odbił się bowiem szerokim echem.

- Mój menedżer powiedział wtedy, że te niecałe siedem sekund zmieniły moje życie. I faktycznie rekord świata bardzo napędził media. Wszyscy go gdzieś widzieli. W Lublinie zrobiłam się rozpoznawalna. Najważniejsze jest jednak to, że ta popularność wpłynęła na całą dyscyplinę i na młodych zawodników, którzy zaczynają wspinaczkę. Trzeba popularyzować wspinaczkę sportową, aby jak najwięcej dzieciaków ją uprawiało, a my żebyśmy mogli cieszyć się w przyszłości z medali olimpijskich moich następców - wspominała lublinianka po powrocie z Tokio. A w Paryżu jeszcze mocniej przyczyniła się do promocji uprawianej konkurencji. Jeszcze nie wybrzmiał Mazurek Dąbrowskiego podczas ceremonii medalowej, a sprawozdawcy telewizyjni już donosili o sfinalizowaniu - na „gorąco” - budowy nowej ścianki. W mieście bez wspinaczkowych tradycji...

NAGRODY DLA SPORTOWCÓW

Ile wart jest złoty medal olimpijski?

Za wywalczenie tytułu mistrza olimpijskiego w Paryżu PKOl przewidział następujące nagrody: 2-pokojowe mieszkanie, premię wynoszącą 250 tys. złotych, diament, obraz i voucher na zagraniczne wakacje. Każdy medalista olimpijski - po osiągnięciu wieku oldboja i zakończeniu kariery sportowej - zyskuje także prawo do pobierania emerytury olimpijskiej. Od 1 stycznia 2024 to świadczenie wynosi 4203,04 PLN.

Głupie żarty. Zabawa. Chęć zaimponowania znajomym. Niestety, mimo próśb czy apeli ciągle zdarzają się fałszywe wezwania służb ratunkowych.

Zgadza się. Mamy wezwanie: „Leży człowiek, nie oddycha, prowadzimy reanimację!”. Przyjeżdżamy na miejsce – pacjenta nie ma. Inny przykład: „Doszło do wypadku, w samochodzie są zakleszczeni ludzie i krwawią, nie poruszają się”. Przyjeżdżamy – ani zdarzenia. Kolejny przykład: „Pomocy, dławi mi się dziecko. Ratujcie, jest już sine!”. Pędzimy karetką – na miejscu nikt nie otwiera drzwi. Wzywamy policję i straż pożarną, wyważamy te drzwi i co się okazuje? W mieszkaniu nikogo nie ma. Mógłbym tak wymieniać bez końca... Takie dramatyczne wezwania telefoniczne, czasami wręcz błagania o ratunek, że ktoś potrzebuje pilnie pomocy – w regionie są cały czas. Brzmia niepokojąco i realnie, dlatego dyspozytor – bez wahania, wysłał ambulans w trybie pilnym. Wyjeżdżamy jako pojazd uprzywilejowany – w kodzie pierwszym, bo życie ludzkie jest zagrożone. Pędzimy na włączonych sygnałach świetlnych i dźwiękowych, bo liczy się czas. A tu niespodzianka... Po dotarciu zespołu ratownictwa medycznego na miejsce wezwania okazuje się, że nie ma tam pacjenta z zatrzymanym krążeniem lub osoby poszkodowanej w wypadku, bo do niego w ogóle nie doszło. Że w ogóle nie ma żadnego stanu zagrożenia zdrowotnego! Jeszcze przez jakiś czas szukamy pacjenta, bo może ktoś w stresie pomylił adres – upewniamy się, dopytujemy okolicznych mieszkańców. A czas biegnie... I wreszcie uświadamiamy sobie, że to było fałszywe wezwanie. Głupi żart. Takich, każdego roku mamy w województwie kilkadziesiąt.

Czasami przyjazd zespołu ratownictwa medycznego jest dodatkowo przez żartowników, filmowany z ukrycia i z oddali.

I niestety – mają dobrą zabawę – widząc, jak ratownicy nerwowo się rozglądają, szukają i w efekcie nikogo nie znajdują. Takie zachowanie to granie z ludzkim życiem, bo w tym czasie ktoś inny może faktycznie potrzebować pomocy medycznej. Gdzieś, ktoś inny w tym czasie umiera! Ktoś inny się dławi, dusi czy ma silny krwotok, zatrzymanie krążenia – a nie ma ambulansu, żeby wysłać do niego pomoc, bo ostatni wolny zespół ratownictwa właśnie pognął do fałszywego zgłoszenia. Dramat gotowy, bo w wielu realnych przypadkach trzeba szybko wdrożyć medyczne czynności ratunkowe, żeby dać komuś szansę na przeżycie. Dać

KOD PIERWSZY. KARETKA PĘDZI. DO ŻARTU...

Grzejemy na włączonych sygnałach świetlnych i dźwiękowych, bo liczy się czas. A tu nikogo potrzebującego pomocy – mówi Krzysztof Wiśniewski, ratownik medyczny, specjalista pielęgniarstwa ratunkowego, kierownik Działu Usług Medycznych i Szkoleń Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Bydgoszczy

Grażyna Rakowicz

szansę na wyjście ze szpitala, bez powikłań – to jest nasz główny cel. Często w rzeczywistości, gdy zespół ratownictwa udaje się do fałszywego zdarzenia, to do tego prawdziwego – w rejonie operacyjnym, nie ma komu pojechać i wtedy jest wysyłany ambulans, np. z innego miasta, powiatu. Czas się wydłuża, a pacjent nie może czekać...

Ten pędzący na sygnale zespół ratownictwa też jest zagrożony.

Jak najbardziej. W takiej sytuacji są zagrożeni nie tylko medycy w ambulansie, ale też inni uczestnicy ruchu drogowego w tym piesi, ponieważ na drodze mogą zdarzyć się różne sytuacje. Kierowcy, gdy usłyszą lub zobaczą jadący na sygnale ambulans, zachowują się czasem irracjonalnie – gwałtownie przed nim hamują, również na zakrętach i wzniesieniach. Jadą blisko za ambulansem albo ustępują w ostatniej chwili, bo w aucie słuchają głośno muzyki, nie patrzą w lusterka i nie tworzą w porę bezkolizyjnego przejazdu dla karetki, czyli korytarza życia. Z kolei piesi usiłują przejść po pasach, zakładając, że pędzące na sygnale pogotowie ich przepuści lub nie słyszą karetki, bo mają na uszach słuchawki z głośną muzyką... Z drugiej strony, kierujący ambulansem – mimo że jedzie szybko – musi zachować szczególną uwagę i ostrożność. Głównie wtedy, gdy zbliża się do sygnalizacji świetlnej, skrzyżowania, przejścia dla pieszych.



– Wezwanie do banalnego przeziębienia czy dla zabawy może kosztować czyjeś życie – ostrzega ratownik

Kto najczęściej jest autorem tych fałszywych wezwań pogotowia?

Do dyspozytorów medycznych dzwonią często osoby młode – tak dla... kawału, żartu. I żeby potem pochwalić

się nagraniem oraz tym „wyczynem” przed znajomymi na imprezie lub w social mediach – tu, żeby się „klikało”. Ale nie tylko... To są też osoby pod wpływem alkoholu, środków odurzających. Niestety,

wszyscy, którzy wprowadzają nas w błąd uświadamiają sobie ten fakt dopiero wtedy, gdy ustalą oraz zlokalizują ich policja i dotrze do nich, że grozi im bolesna kara. Albo gdy wytrzeźwieją. I wtedy przychodzi refleksja: „A co by było, gdyby w tym czasie takiej pomocy potrzebowała moja mama, ktoś z rodziny albo nawet ja sam? Sama?”. Choć taka refleksja nie jest zawsze...

Przypomnijmy, jaka kara grozi za fałszywe wezwanie karetki.

Zgodnie z Kodeksem karnym „kto wiedząc, że zagrożenie nie istnieje, zawiadamia o zdarzeniu, które zagraża życiu lub zdrowiu wielu osób lub mieniu w znacznych rozmiarach lub stwarza sytuację, mającą wywołać przekonanie o istnieniu takiego zagrożenia (...)” podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8. Jeśli sprawca takiego czynu zawiadamia o więcej niż jednym zdarzeniu, podlega karze pozbawienia wolności od 2 do lat 12. Jednak nie kara jest tu, w mojej ocenie – najważniejsza. Tu bardziej chodzi o to, aby szanować numer alarmowy – 112 i numer pogotowia ratunkowego – 999, czyli, aby wybierać je świadomie i tylko w stanach nagłego zagrożenia zdrowotnego. Pogotowie ratunkowe to nie taxi ani przychodnia na kółkach. Jak sama nazwa wskazuje – pogotowie jest ratunkowe, a to oznacza, że ratuje życie!

Jest jeszcze nieuzasadnione wezwanie ambulansu.

Nieuzasadnione to nie to samo, co fałszywe. Zaczę od tego, że – według Ministerstwa Zdrowia – tylko w 2022 roku zespoły ratownictwa medycznego wyjechały „niepotrzebnie” do pacjentów, ponad 2 mln razy. To stanowiło aż 40 proc. wszystkich wezwań. A nieuzasadnione zdarzenie to takie, które nie jest stanem zagrożenia zdrowotnego i nie jest nagłe. Mówiąc krótko, pacjenci dzwonią i wzywają nas w sytuacjach, w których mogą i powinni poradzić sobie sami. Czyli np. powinni wziąć tabletkę przeciwbólową lub rozkurczową, powinni sami udać się do POZ lub izby przyjęć, wezwać lekarza rodzinnego do domu, a nie zespół ratownictwa medycznego. Zauważamy, że w takim zachowaniu dominują mieszkańcy dużych miast, natomiast ci z mniejszych miejscowości, wiosek są bardziej zaradni i sami potrafią poradzić sobie w takich sytuacjach.

Dlaczego tak jest?

Bo choć w dużych miastach jest większy dostęp do POZ i szpitali – to jednak w tych aglomeracjach obserwujemy większą niezaradność i roz-

zeniowość pacjentów. Często funkcjonują oni w myśl zasady: „Płace, to żądam!”. „Nie będę stał w kolejce.” „Nie mam czym dojechać do POZ”. A przypomnę, że w Polsce jeden ambulans przypada na 22 000 mieszkańców. Co prawda średni czas dojazdu, w skali miesiąca nie może być dłuższy niż 8 minut, ale nigdy taki ambulans nie będzie natychmiast u pacjenta, więc wzywajmy pogotowie ratunkowe „z głową”.

To do jakich konkretnych sytuacji jest niezasadnie wzywane pogotowie?

Często po zaświadczeniu o stanie zdrowia, o przedłużeniu lub wypisaniu recepty, o zmianę leków, opatrunku. Po to, aby przetransportować chorego do szpitala na planowe przyjęcie albo do sprawdzenia stanu zdrowia – tak profilaktycznie (!). Do wystawienia zwolnienia lekarskiego, skierowania do szpitala lub specjalisty POZ. To są też drobne skaleczenia, temperatury, bóle gardła, przeziębienia, bóle miesiączkowe a nawet bezsenność. Niestety, często w tych przypadkach dyspozytor medyczny jest okłamywany – wezwanie brzmi bardziej dramatycznie a na miejscu zastajemy diametralnie inną sytuację – jedną z tych, które wymieniałem.

Także w tych nieuzasadnionych przypadkach pogotowie wzywają często osoby po spożyciu alkoholu?

Także. Wtedy zazwyczaj nasza wizyta kończy się brakiem rozpoznania, bo nic takiemu pacjentowi nie jest – wypił zbyt dużo i zdążył zasnąć, dlatego nasze przybycie kończy się... pobudką. Zdarza się też, że w miejscach publicznych ktoś nie podejdzie np. do leżącej na ławce osoby tylko z daleka na nią popatrzy, przejdzie obok autem i... wezwie pogotowie. W takiej sytuacji wskazane jest, aby do niej jednak podejść i sprawdzić, czy jest świadoma, prawidłowo oddycha, ma oznaki krążenia oraz – co najważniejsze – czy potrzebuje pomocy. Bo często – jak się okazuje po przybyciu medyków – taka osoba, będąc np. pod wpływem alkoholu, tylko śpi i żadnego wsparcia medycznego nie potrzebuje. Pamiętam, jak kobieta wezwała pogotowie, bo jadąc autem po jednej z ulic Torunia, zobaczyła kucającego mężczyznę pod blokiem. Okazało się, że w tej pozycji po prostu... na kogoś czekał. Przypomnę, że kary za blokowanie numeru alarmowego 112 lub 999 są takie same jak w przypadku wykroczenia związanego z niezasadnym wezwaniem pogotowia ratunkowego. Jest to areszt, ograniczenie wolności albo kara grzywny do 1500 złotych.

Afera Watergate była jednym z najpoważniejszych kryzysów polityczno-konstytucyjnych w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych. Doprowadziła nie tylko do ustąpienia konserwatywnego prezydenta, ale także głębokich zmian w funkcjonowaniu administracji.

Wpadka hydrauliczków

Zanim Nixon podjął najważniejszą decyzję w swojej karierze, upłynęło sporo wody w Potomaku. A niektóre z wydarzeń, które określamy nazwą „Afera Watergate”, były początkowo lekceważone. Jak choćby sprawa tzw. hydrauliczków. Oto w 1972 r. Komitet Narodowy Demokratów wynajął na główną siedzibę pomieszczenia w hotelu Watergate w Waszyngtonie. 17 czerwca tego roku do tych pomieszczeń włamało się pięciu mężczyzn. Cel był jasny: ukraść dokumentację strategii wyborczej Partii Demokratycznej.

Nim jednak udało im się odnaleźć papiery, nakryli ich biurowi ochroniarze, którzy wezwali policję. Co ciekawe, włamywacze zachowywali się przy aresztowaniu zdumiewająco spokojnie, jakby byli przekonani, że chroni ich potężny protektor. Wśród zatrzymanych znajdował się m.in. James McCord, pracownik Komitetu Reeleksji Prezydenta Richarda Nixona.

Dziś wiemy, że hydraulicy nie chcieli nic ukraść. Przeciwnie, była to nieudana próba zainstalowania podsłuchu w siedzibie sztabu wyborczego Demokratów. Od kompleksu Watergate wzięła się zresztą nazwa włamania i następnie całej afery.

Spektakularny Nixon

Wydawało się, że sprawa hydrauliczków utonąła w oceanie przedwyborczej wrzawy, a jesienią 1972 r. Nixon wygrał dużą większością głosów, zdobywając drugą kadencję. Ktoś ją jednak odgrzebał i z biegiem czasu zaczęły docierać do opinii publicznej kolejne dowody, m.in. na temat nielegalnych działaniach ludzi prezydenta. Główną rolę odegrali tutaj dziennikarze liberalnej gazety „Washington Post” – Bob Woodward i Carl Bernstein.

Nie działali w próżni – byli wspierani przez przecieki od anonimowego źródła, wysoko ulokowanego współpracownika administracji, pod pseudonimem „Głębokie Gardło”. Po latach wyszło na jaw, że był nim Mark Felt, na początku lat 70. wicedyrektor FBI, które prowadziło m.in. śledztwo w sprawie włamania w kompleksie Watergate. Jak twierdził Felt, motywem jego postępowania, swoistej gry na dwa fronty, były kwestie „etyczne”.

AFERA WATERGATE I CO Z NIEJ WYNIKŁO

9 sierpnia 1974 r. Richard Nixon, 36. i 37. prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, złożył rezygnację na ręce sekretarza stanu Henry’ego Kissingera. Był to skutek afery, jaka przeszła do historii jako Watergate

Mariusz Grabowski

Efektom jego współpracy z „Washington Post” była seria artykułów, które wywołały narodowy kryzys konstytucyjny. Nic dziwnego – rzadko zdarza się, że personel prezydenta najpotężniejszego kraju świata okazuje się zorganizowaną grupą przestępczą.

Lawina ruszyła

Izba Wyższa Kongresu powołała senacką Komisję ds. Afery Watergate. Trwające przed nią przesłuchania od 17 maja do 7 sierpnia 1973 r. były transmitowane przez wszystkie publiczne stacje telewizyjne. 13 lipca wyszło na jaw, że wszystkie rozmowy w Gabinetie Ovalnym są nagrywane. Ale prezydent nie tylko odmówił wydania taśm, lecz zdymisjonował powołanego przez Kongres niezależnego prokuratora specjalnego Archibalda Coxa Jr., którego zastąpił Leonem Jaworskim. Ostatecznie Nixon przekazał komisji nagrania, ale z wielką ilością brakujących fragmentów.

24 lipca 1974 r. Sąd Najwyższy wydał więc orzeczenie, że prezydent bezwzględnie musi wydać taśmy w komplecie. Nixon nie miał już żadnego wyjścia, a dodatkowo skompromitował się podczas konferencji prasowej. Przez godzinę, pocąc się i myląc, wypowiedział wówczas słynne zdania: „Obywatele chcą wiedzieć, czy ich prezydent jest kanciarzem czy nie. No cóż, nie jestem kanciarzem. Na wszystko, co mam, zapracowałem”. 9 sierpnia 1974 r., w obliczu przystąpienia Izby Reprezentantów do procedury impeachmentu, ustąpił z urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Następcą Nixona został Gerald Ford, który 8 września wydał akt łaski, uniemożliwiający zakończenie śledztwa i postawienie Nixona w stan oskarżenia. Były prezydent przyznał się w końcu publicznie do „błędów” popełnionych w czasie swojego urzędowania. Ale nic już nie było takie jak przedtem. Afera Watergate zmieniła USA: uprawnienia prezydenta w zakresie wykorzystania służb specjalnych



8 sierpnia 1974 r. Richard Nixon ogłasza rezygnację swoim współpracownikom w Białym Domu. Dzień później formalnie złożył urząd prezydenta USA

zostały ograniczone, procedury w państwie stały się bardziej przejrzyste, a media pokazały, że odgrywają istotną rolę w życiu publicznym. To przecież „Czwarta władza” doprowadziła do rezygnacji najpotężniejszego człowieka w państwie.

Afery za aferami

Przez dekady Watergate było synonimem „zwyczajstwa prawdy nad kłamstwem” i symbolem potęgi amerykańskiego systemu demokratycznego. W 1976 r. do kin trafił też oparty na tej historii film „Wszyscy ludzie prezydenta”, w którym w rolę dziennikarzy „Washington Post” wcielili się

Robert Redford oraz Dustin Hoffman.

Film okazał się tak nośny, że niemal wszyscy patrzymy na wydarzenia sprzed półwiecza oczami reżysera Alana J. Pakuli. A przecież Nixon nie był pierwszym prezydentem, który miał system nagrywania rozmów w Białym Domu. Najwcześniejszy zainstalowano już w latach administracji Franklina Roosevelta.

Poza tym Aferą Watergate przykryło z czasem wiele innych afer. Np. Afera Iran-Contras, określana też czasami jako Afera McFarlane’a. Administracja Ronalda Reagana sprzedawała potajemnie broń Islamskiej Republice Iranu aja-

tollaha Chomeiniego, a pieniądze przeznaczone na finansowanie partyzantki Contras z Nikaragui.

Swoje zrobiła również afera rozporkowa z udziałem Moniki Lewinsky, czyli potajemny romans prezydenta Billa Clintona ze stażystką pracującą w Białym Domu. Clinton został postawiony w stan oskarżenia za krzywoprzysięstwo i utrudnianie śledztwa wymiarowi sprawiedliwości. Kongres, podobnie jak w przypadku Nixona, rozpoczął nawet proces impeachmentu, ale nagle wszystko rozeszło się po kościach.

Polityka, czyli gra

Nie brak głosów, że Afera Watergate była tylko wierzchołkiem politycznej góry lodowej, epizodem w kampanii, która polegała na wzajemnym szpiegowaniu, prowokacjach i rozpuszczaniu złośliwych plotek o przeciwnikach. A nadawanie jej szczególnego znaczenia też jest polityką.

Albo mówiąc inaczej – grą, która jest jej istotą. Przyjrzyjmy się momentowi, który miał miejsce tuż po ustąpieniu Nixona. Doradca prezydenta Geralda Forda, błyskotliwy prawnik Benton Becker, był tym, który otrzymał polecenie znalezienia „podstaw do ułaskawienia byłego prezydenta”. Chodziło o ciekawy paradoks prawny: czy można ułaskawić osobę, zanim zostanie ona skazana, lub jeśli już dojdzie do oskarżenia, czy akt łaski powstrzyma skazanie, jeśli zostanie wydany przed decyzją ławy przysięgłych.

Pamiętajmy, że w tle pojawiła się groźba procedury impeachmentu, do której szykowała się już grupa senatorów. Becker nakłonił Forda, aby ten wydał tzw. szeroki akt ułaskawienia, zamykając tym samym możliwość pociągnięcia Nixona do odpowiedzialności prawnej za jego nielegalne działania podczas prezydentury.

Nic się nie stało

Dowody na dewaluację medialną Afery Watergate? Przeskoczmy do roku 2011. To

wtedy Carl Bernstein, jeden z legendarnej dwójki, ogłosił „Nową Aferę Watergate”. Chodziło o skandal podsłuchowy w Wielkiej Brytanii. „Zbieżności są zadziwiające. W obu przypadkach chodzi o subtelny granicę, jaką pokonała korupcja, wkładając się w działalność wolnych instytucji, a konsekwencje takich zachowań są daleko idące” – stwierdził.

Przypomnijmy: chodziło o aferę podsłuchową brytyjskiego tabloidu „News of the World”, którego dziennikarze przez lata włamywali się nie tylko do skrzynek głosowych w telefonach celebrytów i polityków, ale również rodzin żołnierzy poległych w Afganistanie i Iraku czy rodziców zamordowanej 13-letniej dziewczynki.

Rupert Murdoch, właściciel gigantycznego koncernu medialnego, zeznał w czasie przesłuchania, że nic nie wiedział o stosowaniu podsłuchów przez jego ludzi oraz odrzucił „ostateczną odpowiedzialność” za ujawnioną aferę.

Trumpgate

Kolega Bernsteina, Bob Woodward, także znalazł aferę, która – jego zdaniem – przypomina Watergate. Jest nią prezydentura Donalda Trumpa w latach 2017-2021. Książka Woodwarda pod wymownym tytułem „Fear: Trump in the White House” („Strach: Trump w Białym Domu”) ukazała się 11 września 2028 r., w 17. rocznicę ataków terrorystycznych na WTC.

Ta książka przypomina horror. Przedstawia zatrważający proces decyzyjny 45 prezydenta USA w sprawie polityki krajowej i zagranicznej. Wśród rewelacji są m.in. doniesienia o tym, jakoby część doradców prezydenta próbowała blokować jego działania... usuwając dokumenty z jego biurka. A wszystko to w obawie przed nieprześlązanymi decyzjami, które mogły być niebezpieczne dla kraju.

„Trump to szef Domu wariatów”, „niestabilny emocjonalnie”, „szalony”, „niekompetentny” – to tylko najłagodniejsze epitety, jakimi obdarzają Trumpa ludzie z jego otoczenia. Woodward miał do dyspozycji setki godzin wywiadów z bliskimi współpracownikami Trumpa, notatki ze spotkań, osobiste dzienniki, pliki i tajne dokumenty.

Książka wzbudziła entuzjazm liberalnej Ameryki, sęk w tym, że niekoniecznie musi być obiektywna. Jest i inny problem: skoro Stanami Zjednoczonymi rządził „wariat” to faktycznie jakieś podsłuchy sprzed pół wieku wydają się błahostką. A na horyzoncie już rysuje się kolejna afery, bo przecież Trump może wrócić.

Bolesław Bezeg

OBYŚMY NIE BYLI JAK TEN SPADAJĄCY



Swiat obiega filmik z kronikarską rzetelnością dokumentujący egzekucję siedmiu sprawców gwałtu, dokonanego i osądzonego w jednym z bogatych państw leżących na Półwyspie Arabskim. Bez żadnej pikseloży na wystraszonych oczach i bez żadnego zamazywania krwi tryskającej z odciętych głów. Dokumentację zapewne zleciły tamtejsze władze, bo zależało im, żeby informacja o tym, jaka kara czeka zbrodniarzy, rozeszła się szeroko i została zapamiętana.

Oczywiście nie znajdziecie tego filmu w popularnych mediach społecznościowych, bo algorytmy nie przepuszczają scen przemocy czy języka nienawiści, a za taki uważa się m.in. opisy kaźni. Ludzie jednak wysyłają sobie to nagranie jako ciekawostkę i szybko się ono rozprzestrzenia. Ja osobiście zostałem uprzedzony przez znajomego: „Wyślę ci to, ale po obejrzeniu skasuj, bo to jest ohydne”.

Państwo, z którym każdy chciałby robić interesy, kieruje się swoim mużułmańskim prawodawstwem, w myśl którego kara ma być czynnikiem wychowawczym - odstraszającym ewentualnych przestępców od myśli o zbrodni. Fakt, że mowa o państwie mużułmańskim, akurat tutaj nie jest szczególnie znaczący. Ot, tylko w takich właśnie państwach w kodeksach pozostały fragmenty starożytnego „Kodeksu Hammurabiego”, który leży u początków wszelkiego znanego nam prawodawstwa. Wszyscy zaczynaliśmy od „oko za oko”, tylko jedni zostali na etapie ucinania gwałcicielowi głowy, a inni dążą do uznawania za molestowanie i niemal gwałt wypowiedzenie do koleżanki z pracy zdania: „Ładnie pani wygląda w tej sukience”. Pytanie o wyższość któregoś z tych dwóch systemów prawnych na poziomie filozoficznym pozostaje otwarte. Nie można wykluczyć, że ten z Półwyspu Arabskiego jest spójniejszy, a na pewno nie można go potępiać, że tak powiem, w czambuł.

Żeby było jasne: nie jestem zwolennikiem odcinania złodziejowi ręki ani cudzołożnikowi jego narzędzia zbrodni. Wydaje mi się jednak, że my tu, w Europie, popadliśmy w przeciwną skrajność i cokolwiek trochę za daleko posunęliśmy się w chronieniu członków naszego społeczeństwa przed rzeczami i informacjami nazwijmy to „niemiłymi”. Przypominam sobie pewnych znajomych, którzy nigdy nie zabierali swojej córki na pogrzeby różnych cioci i babć, żeby jej nie zasmucać. I tak aż do dorosłości. Jak w piosence Młynarskiego: „Po co babcię denerwować, niech się babcia cieszy”. Nie chciałbym być w skórze tej kobiety, gdy w końcu zderzy się z faktem, że ludzie umierają.

Czasami powinniśmy się zdenerwować czy zasmucić. Życie absolutnie nie składa się tylko z chwil przyjemnych, a wydarzenia, jakie warto odnotowywać, nie niosą tylko radosnych treści. Musimy przyjmować także wiadomości złe, bo one są dla nas ostrzeżeniem i mogą nas skłonić do refleksji, do podjęcia przygotowań na wypadek nadejścia niebezpieczeństw czy choćby trudnych czasów.

W słynnym ostatnim wywiadzie Stanisław Lem, odnosząc się do kierunku, w jakim zmierza nasza cywilizacja, opowiedział następującą anegdotkę: Mężczyzna wypadł z 10 piętra i spadał. Na czwartym piętrze ktoś otworzył okno i spytał go: „Jak tam?”. „Na razie w porządku” - odpowiedział spadający.

Mariusz Leśniewski

GORDON GEKKO I SEZON NA JELENIA



Sezon ogórkowy nigdy nie jest łatwy dla mediów, ale w tym roku wydaje się wyjątkowo łaskawy: sporo się dzieje w krajowej polityce, w Stanach Kamala Harris ściga się z Donaldem Trumpem, wrze na Wyspach Brytyjskich, a w Warszawie wrzenie wywołały koncerty Taylor Swift. Czym byłby jednak sezon ogórkowy bez wakacyjnych opowieści?

I tak znów nie brakuje tekstów, jak drogo jest w Chorwacji, jak zabójczo upalnie we Włoszech, jak dużo Rosjan w Turcji, jakie tłumy zdeptują Barcelonę. No właśnie, tłumy - zatrzymajmy się tu na chwilę, rozejrzyjmy dookoła: w Gdańsku Jarmark św. Dominika i ulice szczelnie zapchane, na Półwyspie Helskim trudno wcisnąć się na plażę, a i zarezerwowanie dobrego noclegu nad kaszubskimi jeziorami to spore wyzwanie. Wydawałoby się, że nasza branża turystyczna ma się świetnie, ale jest zgrzyt i zła wróżba na przyszłość. Coraz więcej gości wpada nad morze dosłownie na chwilę: trzy noclegi, dwa w weekend, a są i wczasowicze, którzy ograniczają się do jednej nocy. Dwutygodniowe wakacje? Tydzień? One stają się luksusem. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze: wiadomo, tych mamy zawsze za mało, ale ceny nad Bałtykiem (zresztą w górach czy na Mazurach jest podobnie) potrafią sprawić, że letnik czuje się jak Evander Holyfield po walce z Vitoem Belfortem, czyli oszołomiony już w pierwszej rundzie pyta, co się stało...

Jak już przeboleje wysoki rachunek kwaterek i zje rybkę - może nie w cenie kawioru - ale bardzo drogą, padnie na deski łodziarni, widząc gałkę łoda za 8 złotych (za dychę też bywało) i gofra z bitą śmietaną za 30 złotych. „O co chodzi”? - pyta pan Kowalski z Radomia. „Te lody mają specjalną recepturę? Zrobione są z najlepszego holenderskiego mleka z ekologicznych hodowli, gdzie krowy słuchają „Czterech Pór Roku” Vivaldiego” - zastanawia się jego małżonka. Nie, proszę państwa, to zwykłe lody, co prawda - rzemieślnicze, ale od kilku sezonów wszystko jest w sezonie „rzemieślnicze”, bo dobrze się wtedy sprzedaje. Powiedzmy sobie wprost, ale nie generalizujemy: są miejsca na turystycznej mapie

Polski - nie tylko nad morzem - gdzie turyści robią sobie w jelenia. Powód jest prosty: kwatery, kwaterodawcy, gastronomicy, handlowcy wychodzą z założenia, że sezon jest tak krótki, że trzeba na gościach zarobić na zapas. Przecież jesień, zima długa, a majówka za szybko nie nadejdzie. Nie zapłaci krajowy turysta? No to, do widzenia. Do Kołobrzegu przyjadą zamożni Niemcy, w Gdańsku balować będą Skandynawowie, a w Zakopanem - Arabowie. Oni zapłacą i jeszcze podziękują...

Nie, to tak już nie działa. Klienci - obojętnie, skąd są - potrafią liczyć, nawet ci mityczni Skandynawowie potrafią robić zakupy w dyskoncie, żeby potem pobalować w apartamencie. Taniej, wygodniej, ale czy o to chodzi?

Znajoma właścicielka zajazdu i restauracji na Kaszubach opowiadała mi, że woli zejść z ceny, by mieć gości przez dłuższy czas, zadowolonych, takich, którzy wrócą tu za rok, a i polecą jej biznes rodzinie, znajomym. Nie potrzebuje turystów dwudniowych, bo to tylko kłopot ze sprzątnięciem. Jednak branża w tę stronę nie idzie - szykują się nam sezony z turystami jednodniowymi, takimi, którzy już teraz są zmorą Wenecji, Barcelony czy czeskiej Pragi.

A propos Czechów, oni też umieją liczyć. Nie sprawdzają się w tym sezonie wizje, że będą dominującą grupą wakacyjną. Jeszcze jest nad Węłtawą moda na Bałtyk, ale - jeśli ceny nad naszym morzem nie wyhamują - znów wróci do łask chorwacki Adriatyk. Wiem, tam też drogo, bo południowi Słowianie zawsze mogą liczyć na Włochów, Niemców i Anglików, ale za to pogoda gwarantowana i morze bez sinic.

Umiar jest cnotą. We wszystkim. W biznesie też. Gordon Gekko w świetnej kreacji Michaela Douglasa z filmów Oliviera Stone'a mawiał co prawda, że chciwość jest dobra, ale polskie wybrzeże to nie Wall Street, więc to motto w łodziarni czy restauracji stosowane być nie powinno, żeby letnik nie czuł się jeleniem. I tu - proszę o wybaczenie za osobistą refleksję - wczoraj poczułem się takim jeleniem, gdy wróciłem z centrum Gdańska.

Trudno zrozumieć, że cena kolacji z umiarkowaniem dobranymi napitkami potrafi być wyższa niż w centrum Pragi, Wiednia czy Neapolu. Nie wiem, czy to już jakiś dysonans poznawczy, ale za to pewny jestem, że za chwilę turyści wpadną będą nad morze na kilka godzin. Wykąpią się, zjedzą hot-doga z marketu i... znikną.

A potem odnajdą się na all-inclusive w Bułgarii.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 30 utworzą rozwiązanie – aforyzm Ronalda Loinga.

ROZWIĄZANIE: MIŁOŚC JEST KOSTIUMEM DLA PRZEMOCY.

Plainsville, Ohio	enormous	pic
-------------------	----------	-----

Ten werdykt był bolesny

Jacek Wójcik
sport@gp24.pl

PARYŻ 2024. **Elżbieta Wójcik z Karlina ma za sobą drugi olimpijski występ. W Paryżu była o krok od pierwszego w karierze medalu na Igrzyskach.**

Przypomnijmy, że w walce o najlepszą czwórkę Elżbieta Wójcik przegrała po bardzo kontrowersyjnym werdykcie 2:3 z pięściarką z Panamy, Atheyną Bylon. 28-letnia karlinianka wróciła już do kraju. W środę żołnierka Centralnego Wojskowego Zespołu Sportowego została przywitana przez władze samorządowe.

Za tobą drugi start na Igrzyskach Olimpijskich. Strefa medalowa była dosłownie na wyciągnięcie ręki. Marzenia zabił werdykt sędziów. Czy nadal to w tobie siedzi?

Ten werdykt tak szybko nie zniknie z mojej głowy. To jest bardzo bolesne. Nic tak nie boli jak przegrana na Igrzyskach Olimpijskich, gdy medal był na wyciągnięcie ręki. Gdybym była przekonana, że tę walkę

rzeczywiście przegrałam, nie miałabym aż takiego problemu i nie czuła tego co czuję. Uważam, że wygrałam i nigdy nie zgodzę się z tym werdyktem, chociaż wiem, że nie mam już na to wpływu.

Po trzeciej rundzie walki z Panamką wyglądałaś na pewną swego. W końcówce zaakcentowałaś swoją wyższość czystymi ciosami, zostawiając dobre wrażenie, co jest bardzo istotne w walce bokerskiej. Trzecie rundy zawsze się zaczyna, żeby przekonać do siebie sędziów jeszcze bardziej. Myślę, że to zrobiłam i dziwne było, że tej rundy nie dali na moją korzyść.

Był kiedyś gorszy werdykt w twojej karierze?

Nigdy mnie tak nic nie bolało. Nawet te cztery porażki z Irlandką (E. Wójcik pokonała Aoife O'Rourke dopiero w Paryżu, w swoim pierwszym pojedynku - dop. red), tak jak ta jedna przegrana na Igrzyskach. Wchodząc do strefy medalowej mogłam osiągnąć nie tylko sukces sportowy, ale także zapewnić sobie lepszą przeszłość. Medal olimpijski daje prawo

do sportowej emerytury oraz określone nagrody. Za chwilę nikt nie będzie pamiętał o moim starcie w Paryżu, ani o tym dlaczego przegrałam. Pamięta się tylko zwycięzców. Nikt nie widzi, jak sportowcy ciężko pracują przez te 4 lata, żeby pokazać się na Igrzyskach Olimpijskich. To jest w tym wszystkim najgorsze, że człowiek przygotowuje się przez 4 lata do tych zawodów i są pewne osoby, które mogą to zaprześcić.

Twoja pierwsza walka z O'Rourke to było przełamanie pewnego kompleksu. Dodało ci to pewności siebie przed pojedynkiem z Bylon?

Wcześniej przegrywałam z Irlandką na turniejach, ale żaden dla mnie nie był tak ważny jak ten olimpijski. Wiedziałam, że teraz wygram! Za ciężko pracowałam i nie było innej możliwości.

Bardzo często podkreślasz, że byłaś świetnie przygotowana.

Jako seniorka nigdy nie byłam tak mocna, pewna siebie i swojego zwycięstwa. To były najbardziej męczące i najtrudniejsze przygotowa-

nia, w których poświęciłam bardzo dużo, jak nie wszystko. Poświęciłam swój czas, a także swoje pieniądze na te przygotowania. Byłam przygotowana perfekcyjnie, dlatego ta przegrana boli tym mocniej.

Co dalej? Zostajesz przy boksie i szykujesz się do Igrzysk w Los Angeles, czy masz może inne plany?

Igrzyska za 4 lata są moim priorytetem. Olimpijski medal jest spełnieniem dla sportowca. Potrzebuję tego medalu także po to, żeby mieć lepsze życie. Taki jest plan, ale to aż 4 lata i wiadomo, że wiele może się jeszcze zmienić.

Jak wygląda twój poolimpijski reset? Planujesz wyjazd na rajską plażę, czy raczej będzie to odpoczynek na miejscu w Karlinie w otoczeniu najbliższych.

Jeszcze o tym nie myślałam. W tej chwili najbardziej potrzebuję ciszy i pobyć sama ze sobą. Na pewno na razie odpocznę od boksu i treningów, ale w październiku są mistrzostwa świata i chciałabym tam wystąpić.
©®

Nekrologi i kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku w godzinach 8.30-15.30

- ☐ bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń, **Gdańsk, Połęża 3, tel. 58/300 32 11**
- ☐ drogą mailową: **nekrologi@prasa.gda.pl**
- ☐ poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń **ibo.polskapress.pl**
- ☐ w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - **PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76**
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - **ZDIZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31**
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - **Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni**
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

Wspomnienia. Te najważniejsze...

Wspomnij bliskich. Zapal im świeczkę. Sprawdź na nekrologi.net i dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłacić kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połęża 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

KUPIĘ nieruchomości, również zadłużone, za gotówkę, 518-878-010

Handlowe

MATERIAŁY OPAŁOWE

DREWNO opałowe świeże sprzedam: świerk, sosna-180zł, osika-200zł, olcha-230zł, brzoza lub dąb 260zł, buk-280zł, grab-290zł -metr nasypowy polupany z transportem, woj. pomorskie, tel. 723-894-857

Motoryzacja

SAMOCHOODY OSOBOWE- KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane wypadkowe. Najlepiej płacimy, całe pomorskie 514-514-610

Praca

ZATRUDNIĘ

NIEMCY cieśla murarz stolarz malarz hydr spaw op. kop. dźwig: 601218955

PRACA DODATKOWA Doradca Klienta branża finansowa
tel.517-090-224,email:praca@edenfinance.pl

PRACA w porcie DE/Wózek Kalmar/przeładunek kontenerów morskich. J. ang. Tel. 536-133-205.

Usługi

AGD RTV FOTO

NAPRAWA lodówek, pralek i zmywarek, tel. 501-103-397

BUDOWLANO-REMONTOWE

A do Z awarie dach, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie, 517-744-487

CYKLINOWANIE bezpyłowe 504 641 458

HYDRAULIKA, tanio, solidnie, awarie, tel. 513-661-997

MALUJĘ tanio i solidnie 608 788 280

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

KOMPUTEROWE

Laptopy, Komputery SERWIS Tanio, Dojazd, tel. 505-558-579

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy, turnus 20% dofi dla emer. /rent w sierpniu 950zł, miodowyr.pl 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 85 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

MORZA

CHŁAPOWO k. Władysławowa - "U Żwirka" pokoje z łazienkami, aneks kuchenny, plac zabaw, parking, ogród, (58)674-23-95, 608-171-428, 793-871-505

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem od 140zł/os. 601-585-510 www.danaustronie.pl

DZWIRZYNOMORZE.PL, 605-905-969

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

ŁEBA- pokoje z łazienk., 606-687-996.

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KOKOSZKI odchowane Rosa 1: 16-tyg. 29.07.24r. 5-tyg. 24.07.24r., 8-tyg. 12.08.24r., 12 tyg. 9.09.24r. Możliwość dowozu, S.F. Hajduk Rudno, 668-806-394

KURKI nioski młode dowóz 600539790

Zwierzęta

INNE

MARZENA Szczodrowska Ferma drobiu Mechowo koło Pucka. Kury odchowane rasy Rossa, 58-675-59-17, 604-356-080

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie
zlecisz
bez wychodzenia
z domu przez
Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

PARYŻ 2024 ALEKSANDRA MIROŚŁAW ZDOBYŁA W ŚRODĘ PIERWSZY ZŁOTY MEDAL DLA POLSKI NA IO W PARYŻU

W życiu wszystko dzieje się dla nas

Jakub Guder z Paryża
redakcja@polskaiexpress.pl

- W sporcie nic nam się nie należy - mówi Aleksandra Mirosław, mistrzyni olimpijska we wspinałce na czas.

Dużo Cię ten finał kosztował? Wiesz, że jesteś najlepsza, ale nie mogłaś popełnić błędu. W sporcie nic nam się nie należy. Wszystko jest wybiegane. Skupiłam się, żeby robić swoje. Nie skupiałam się na tym, że jestem najlepsza, że pobiłam rekord świata. Eliminacje już były. Teraz są finały, nowa karta. Skupiłam się na każdym kolejnym biegu. Przez całe zawody nie spojrzałam ani razu na prawą drogą. Nie wiem, ile dziewczyny biegały. Dopiero w miksonie dowiedziałam się, że z Chiną byliśmy blisko. Nie patrzyłam na to. Najważniejsze było dla mnie to, co ja robię.

Co poczułaś, jak medal zawisł na Twojej szyi? Poczułam ogromną dumę i radość. To jest moment, kiedy



Aleksandra Mirosław z mężem, a zarazem trenerem Mateuszem Mirosławem. Zgodnie przyznają, że dla obojga ostatnie dni przed startem w Paryżu były najtrudniejsze

marzenia się spełniają. Kiedy stoimy tutaj dumni. Jestem też żołnierzem Wojska Polskiego, więc to podwójna duma, że wywalczyłam ten medal dla Polski. Pierwszy złoty - czy ktoś mnie uprzedził? Nie wiem, bo nie śledziłam w ogóle igrzysk...

Było tu dużo kibiców i wielu z nich wzruszyło się, słysząc hymn Polski. Ty też płakałaś. Na co dzień nie jestem sama. To jest cały team. Stworzyliśmy z moim trenerem, a prywatnie mężem Mateuszem, profesjonalny zespół, gdzie każdy ma swoje zadania. To zaprocento-

wało. Miałam komfort, mogłam przygotować się w spokoju. Oni wszystkim się zajmowali, a ja mogłam tylko biegać.

To skupienie to Twój znak firmowy. Przez ostatnie dwa tygodnie nie rozmawiałam z nikim, nie licząc

mojego teamu i misji olimpijskiej. Ciężko zapracowaliśmy na ten medal. Wiedzieliśmy, że będziemy gotowi.

Komu dedykujesz ten sukces? Ludziom, którzy współpracują ze mną na co dzień. Mojej rodzinie, która tu jest. Cieszę się, że będą mogła dzielić tę chwilę z rodzicami, siostrą, przyjaciółmi.

Co dla Ciebie oznacza, że do końca życia będziesz mistrzynią olimpijską? Na taki medal szykujesz się całą swoją karierę. Przez ostatnie lata przygotowywaliśmy się na to. Jestem wdzięczna za MŚ w Bernie, które mam za sobą (Mirosław zdobyła tam „tylko” brązowy medal - przyp. JG). Dla mnie to był świeży start. Reset. Przywrócenie do rzeczywistości. W życiu wszystko dzieje się dla nas, nie przeciwko nam. Ze wszystkiego możemy coś wyciągnąć. Nie są to trudne doświadczenia, ale trudne rzeczy spotykają silnych ludzi. W misji olimpijskiej są krowki, które

mają różne cytaty. Mnie się trafił cytat z Ireny Szewińskiej, która mówiła, że medal jest do końca życia, a rekordy ktoś tak wcześniej lub później pobija. Ja do końca życia będę już mistrzynią olimpijską.

Masz jeszcze jakieś sportowe marzenia? Teraz chcę odpocząć, cieszyć się, świętować. Docenić ten moment. Być dumna z siebie.

Jak olbrzymią mentalną pracę wykonałaś w ostatnich miesiącach? To była bardzo trudna, ciężka praca. Zawiodła mnie w bardzo ciemne zakątki mojej głowy. Po Rzymie (tam odbyły się europejskie kwalifikacje olimpijskie - przyp. JG) dołączyliśmy do naszego teamu psychologa i te osiem miesięcy ciężkiej pracy zaowocowało. To był brakujący element układanki, który zdecydowaliśmy się razem z Mateuszem dołączyć. Dzięki temu mamy złoty. To najkrótsza współpraca, ale ogromna cegła dołożona do tego medalu. ©©

REKLAMA

0011119627

TEAM

We Are

One Team

SPONSORZY POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ PARYŻ 2024

ORLEN, Polski Cukier, TALIRON, PROFBUD, ICC, Enea, plus

Ostatnie trzy dni zmagania w Paryżu. Program startów Polaków

Zbigniew Czyż
redakcja@polskaiexpress.pl

Igrzyska w Paryżu wielkimi krokami zbliżają się do końca. Przed nami trzy ostatnie dni rywalizacji na olimpijskich arenach. Nie zabraknie sporych emocji z udziałem reprezentantów/tek Polski.

W piątek na uwagę zasługuje przede wszystkim finał w biegu na 400 metrów z udziałem Natalii Kaczmarek. Polka notuje fantastyczny sezon, wygrała swój bieg w półfinale z czasem 49.45 s i ma duże szanse na zdobycie medalu.

W eliminacjach na 400 m wystąpią nasze sztafety kobiet i mężczyzn. Trzy lata temu w Tokio Polki zdobyły srebrny medal, w kwalifikacjach nie pobięnie Natalia Kaczmarek. W półfinale na 100 m ppł wystąpi Pia Skrzyszowska, rywalizację w siedmio-boju zakończy Adrianna Sułek.

O medale powalczą dziś także kajakarze i kajakarki. W półfinałach K-2 na 500 metrów wystąpią dwie kobiece osady: Martyna Klatt i Helena Wiśniewska oraz Karolina Naja i Anna Puławska. Wśród mężczyzn w K-2 500 o awans do finału powalczą Jakub Stepun i Przemysław Kor-



Natalia Kaczmarek wygrała swój bieg półfinałowy i może celować w jeden z medali olimpijskich

sak, a w wyścigu C-1 na 1000 m Wiktor Głazunow. Jeśli awansują do finałów, wszyscy powalczą dziś o miejsce na podium.

W sobotę wielkie emocje z udziałem siatkarki. O godz. 13 Polacy zagrają w finale z reprezentacją gospodarzy - Francją.

W finale rzutu oszczepem wystąpi Maria Andrejczyk. Srebrna medalista igrzysk z Tokio uzyskała najlepszy wynik w eliminacjach (65.52 m), notując przy okazji swój najlepszy rezultat w tym sezonie. Finał z udziałem Polki rozpocznie się o godz. 19.40.

O 21.30 do walki o złoty medal w boksie w kategorii do 57 kg przystąpi Julia Szeremeta. W finale zmierzy się z reprezentantką Tajwanu Lin Yu Ting.

W sobotę czekają nas też emocje związane z występami Polaków w kajakarstwie, kolarstwie torowym, pięcioboju nowoczesnym czy podnoszeniu ciężarów.

W niedzielę w maratonie pobięną Aleksandra Lisowska i Angelika Mach. Rywalizację zakończą pięciobojsi, nasi reprezentanci wystąpią też w kolarstwie torowym.

PARYŻ 2024 POLSCY SIATKARZE WYKAZALI SIĘ NIEBYWAŁYM CHARAKTEREM, WYGRYWAJĄC PÓŁFINAŁ Z USA

Zrobili to! W finale grają z Francją

Marcin Jastrzębski z Paryża
redakcja@polskapress.pl

Pachnie powtórką z 1976 roku. Polscy siatkarze mogą zostać mistrzami olimpijskimi. Został im jeden krok: ograć w sobotę Francuzów.

Kto oglądał środowy dreszczowiec (3:2 z USA) Biało-Czerwonych doskonale wie, że nasz zespół jest zdolny do wszystkiego. Bariery, takie jak kontuzje, nie są dla naszych siatkarzy problemem. W trakcie meczu najpierw bark zwichnął Paweł Zatorski, a następnie z gry wypadł Marcin Janusz, który walczył z bólem pleców już od kilku dni.

„Zator” teoretycznie miał zmiennika, bo gotowy do wejścia był Kamil Semeniuk, ale Paweł zacisnął zęby i dograł mecz do końca. Jedno zatem jest pewne: będzie miał 17. medal w swojej reprezentacyjnej kolekcji. On, podobnie jak pozostali zawodnicy, ma apetyt na złoto.

- Został jeszcze jeden krok do zrobienia, tak że musimy szybko zejść na ziemię, no i po-



Żeby cieszyć się z awansu do finału igrzysk, najpierw trzeba było pocierpieć. Na zdjęciu związający się z bólu Paweł Zatorski

zbierać się do kupy, bo widać, że przeżywaliśmy z USA dużo trudnych chwil. Mam nadzieję, że zbierzemy się po raz kolejny i wywalczymy złoto - zaznaczył Zatorski, który w rozmowie z dziennikarzami w środę przyznał, że w trakcie meczu zmagając się z bólem. - Było źle, naprawdę,

nie miałem takiego urazu, nie czuję dwóch palców, każde dotknięcie po tym zderzeniu nie było łatwe, ale wiedziałem, że gdybym zszedł z boiska raz, to już bym na nie nie wrócił - zaznaczył.

Najpewniej dziś okaże się, na ile poważny był ten uraz „Za-

tora”. - Mam nadzieję, że bark jest na swoim miejscu i obstawiam, że mógł gdzieś się tam wydostać ze swojego miejsca na chwilę, ale wiem, że jestem pod opieką fantastycznych ludzi, w których zawsze bardzo wierzymy i bardzo nam pomagają - podsumował zawodnik.

Kontynuować gry nie mógł Janusz, ale okazało się, że na swojej robocie zna się Grzegorz Łomacz. Nie pierwszy raz pokazał, że jest solidnym „zadaniowcem”. Zachował zimną krew w końcówce piątego seta, gdy kilku piłek nie skończył Wilfredo Leon, ale tę ostatnią, na wagę awansu, skierował właśnie do polskiego Kubańczyka. - Nie miałem wątpliwości, że Leon to skończy, choć jeszcze myślałem o zagranii z Kubą Kochanowskim. Myślałem, że jedną na trzy piłki skończy i skończył - zaznaczył Łomacz. Leon zaś był wdzięczny za zaufanie, jakim obdarzył go Łomacz.

- Ważne, że skończyliśmy tę akcję, ja tylko zrobiłem to, co musiałem. Nie jestem bohaterem - zarzekł się Leon.

Łomacz imponował spokojem. - Ja należę do osób dość opanowanych. Od samego początku igrzysk gdzieś w głowie sobie układałem, że zagram. Jak nie gram, to po prostu nie gram i tyle, ale jak wchodzę, to czuję spokój, bo jestem na to gotowy. Zagrywka jest naszym atutem

i musimy być w tym elemencie bardzo agresywni w sobotnim finale - zaznaczył.

Z boku mecz oglądał środkowy Mateusz Bieniek, który igrzyska ma już „z głowy” przez kontuzję. - Miałem trzy zawały, ale dzięki chłopakom za to zwycięstwo. Gdyby przed tym turniejem ktoś zapytał, czy za medal dam sobie urwać nogę, to bym powiedział: „Rwicie mi dwie”. To wszystko pokazuje, jak cholernie mocny jest nasz zespół i że nas przeciwności losu wzmacniają - podkreśla Bieniek.

W sobotę większe wsparcie z trybun będą mieć Trójkolorowi, którzy w półfinale rozbili Włochów 3:0. Biało-Czerwoni z całą pewnością wyjdą jednak na mecz z Francją z odpowiednim nastawieniem. - Marzymy o tym złocie, ale może też ciśnie nie zejdzie, bo już wiadomo, że nie wrócimy z turnieju z niczym. Ale każdy na pewno chce tego złota i zrobi wszystko, żeby to złoto przyjechało do Polski - zapowiada Bieniek.

Początek sobotniego meczu o godzinie 13.00. ©P

Julia Szeremeta: 10 sierpnia moja ręka powędruje do góry!

Marcin Jastrzębski z Paryża
redakcja@polskapress.pl

- Nie boję się nikogo, nie czuję do nikogo respektu, wychodzę i robię swoje - odważnie opisuje swoje podejście do olimpijskich wyzwań Julia Szeremeta. W sobotę Polka wystąpi w wielkim finale.

Półfinały przeniosły się z północnej części Paryża do obiektów Roland Garros. Na korcie Philippe'a Chatriera ustawiono ring, a na trybuny przyszli fani sportów walki. Dostali od Julii i rywalki z Filipin niezłą dawkę emocji. W pierwszej rundzie Filipinka nieco zaskoczyła Polkę, ale druga i trzecia runda należały już do Szeremety.

- Jeszcze lepiej bawiłam niż na poprzedniej scenie - oceniła Julia, nawiązując do zmiany obiektu, w którym startowała.

- Nie mogę się doczekać finału - przyznaje Julka. Rywalką Szeremety będzie Lin Yu-ting.

- Dostosujemy taktykę do poziomu rywalki. To zdecydowanie będzie najtrudniejsza przeciwniczka, z jaką do tej pory Julia walczyła - zaznacza Tomasz Dylak, trener Szeremety.

- Nie sprawdzałam w ogóle swojej drabinki, na kogo trafie.



Młoda, ambitna, pewna siebie bokserka PACO Lublin pokazuje siłę mentalną. Zapowiada walkę o złoty medal!

Wiem, że jest wyższa ode mnie - opisuje 20-latkę.

W półfinale Julii nie zestresował fakt, że przegrywała po pierwszej rundzie.

- Troszkę się zdziwiłam, że ta runda jest dla mnie przegrana, ale tak naprawdę nie zmieniło to nic w moim stylu boksowania. Dalej boksowałam troszkę z kontry, może więcej biłam, ale przy tym dalej się świetnie bawiłam i to był mój styl - zaznacza Szeremeta.

Kolejne zwycięstwo nakreśliło Szeremetę, która nie ma poczucia, że robi coś wyjątkowego.

- Zwycięstwa oczywiście dodają mi jeszcze pewności siebie, ale tak naprawdę nie czuję, że jestem na igrzyskach. Myślę, że jestem na normalnym turnieju, w ogóle nie czuję stresu. Wychodzę, boksuję na luzie. Dopiero czuję, że idę na walkę, jak już jestem na sali i zaczynam się rozgrzewać - dodaje Julia.

Szeremeta przerywa niechlubny okres w polskim boksie bez olimpijskiego medalu. Ostatni został wywalczony w 1992 roku. ©P

REKLAMA

0011119628



SPONSORZY PKOl I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ PARYŻ 2024



SPORT

www.sportowy24.pl

Lechia potrzebuje dobrego meczu i punktów. W tym drużynie ma pomóc wsparcie kibiców

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk pozostaje bez zwycięstwa w tym sezonie w PKO Ekstraklasie. W trzech meczach zdobyła tylko jeden punkt i zajmuje przedostatnie miejsce w ligowej tabeli.

Przed Lechią bardzo ważny mecz z Zagłębiem Lubin na stadionie Polsat Plus Arena Gdańsk i właśnie w tym spotkaniu drużyna będzie potrzebowała wsparcia kibiców.

Kibice Biało-Zielonych mają okazję pokazać, że są z drużyną na dobre i na złe. Dla Lechii początek sezonu jest trudny oraz zły i dlatego mecz z Zagłębiem ma tak duże znaczenie. Drużyna chce wygrać i zacząć masz w górne rejony tabeli. Potrzebować będzie wsparcia kibiców, zwłaszcza że drużyna z Lubina może mieć nawet około tysiąca swoich fanów na trybunach stadionu Polsat Plus Arena Gdańsk. Ważna jest zatem wysoka frekwencja ze strony fanów gospodarzy, którzy mogliby dodać drużynie skrzydeł w tym bardzo ważnym meczu. O wsparcie, po porażce w Poznaniu z Lechem, prosił Maksym Chłani, skrzydłowy zespołu z Gdańska.

- Chciałbym podziękować kibicom za to, że nas cały czas wspierają. Mogę tylko prosić, żeby wierzyli w nas do końca. Wiemy, że musimy dawać z sie-

bie więcej w Ekstraklasie niż to było w pierwszej lidze. Niech jednak kibice się nie martwią, my to zrobimy. Kibice w nas cały czas wierzą, a my wierzymy w naszych kibiców. Taka jest piłka nożna, a my teraz musimy być razem - powiedział Chłani.

Piłkarze Biało-Zielonych potrzebują impulsu. Takim na pewno byłoby zwycięstwo, które podniosłoby pewność siebie u zawodników. To sprawia, że mecz z Zagłębiem będzie tym ważniejszy dla gospodarzy. Trzy punkty pozwoliłyby gdańskiej drużynie także dźwignąć się z przedostatniego miejsca w tabeli.

- Drużynie potrzebny jest dobry mecz, w którym zapunktujemy i to najlepiej za trzy punkty. Mocno pracujemy nad tym, żeby to stało się już w niedzielę. Drużyna potrzebuje wiatru w żagle w postaci dobrego rezultatu, ale też dobrej gry. Mam nadzieję, że z dnia na dzień to, co widzę na treningach, będziemy potrafili przełożyć na spotkania ligowe - powiedział w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim” Szymon Grabowski, trener Lechii.

Zagłębie zanotowało nieco lepszy start do nowego sezonu. Po przegranym meczu z Legią w Warszawie później w dwóch spotkaniach z rzędu u siebie zremisowało z Pogonią Szczecin i wygrało z Puszczą Niepołomice.

PIŁKA NOŻNA

Startuje sezon 2024/25 w Orlenie Ekstralidze kobiet.

Pierwsza kolejka w Orlenie Ekstralidze kobiet pokaże się poszczególnych zespołów. W zespołach AP Orlenu Gdańsk oraz Pogoni Dekplou Tczew latem nie brakowało zmian kadrowych.

Obie drużyny z Pomorza na inaugurację sezonu grają na wyjazdach. Piłkarki AP Orlenu Gdańsk zmierzą się we Wrocławiu ze Śląskiem i czekać je będzie bardzo trudne zadanie. To

spotkanie rozpocznie się w niedzielę o godz. 12. Pogoń Dekpol Tczew zagra z Czarnymi w Sosnowcu. To spotkanie rozegrane zostanie w niedzielę o godz. 13. (stan)

PIŁKA NOŻNA

Chojniczanka powalczy o punkty w drugiej lidze.

Chojniczanka Chojnice zagra na wyjeździe z rezerwami ŁKS Łódź w czwartej kolejce Betclis II Ligi. Początek w niedzielę o godz. 19.35. (stan)



Iwan Żelisko to dla Lechii kluczowy zawodnik środka pola. Biało-Zieloni potrzebują go na boisku w swojej najwyższej formie

- Sposób na Zagłębie leży w naszej grze. Utrzymanie przy piłce musi być cierpliwe, dłuższe i prowadzić do tego, żeby wykorzystać przestrzeń, które ma Zagłębie w momentach mocnego zawężenia. Pojedynki w defensywie muszą być wygrane, bo skrzydła rywali są bardzo mocne - przekonuje trener Grabowski. - Uczulamy naszych pomocników i bocznych obrońców, że ten nweralgiczne momenty w bocznych sektorach muszą być wygrane. Mam

nadzieję, że to, nad czym pracujemy cały czas, będzie widoczne na boisku.

Dla rywalizacji ważna jest wysoka forma poszczególnych zawodników. Nie tylko tych podstawowych, ale też napierających z drugiego rzędu. Tymczasem na razie Biało-Zielonym na boisku nie pomagają Serhij Bułeca i Bohdan Wjunyk, a oczekiwania na pewno były większe. Czas najwyższy, żeby mocniej zaakcentowali obecność w zespole.

- Już odbijają piętno, choć na razie na treningach, gdzie mocno naciskają na zawodników, z którymi rywalizują. Bohdan dał nienajgorszą zmianę w Poznaniu i zaraz może może zrobić to w większym wymiarze czasowym. Do tego dochodzi Serhij i myślę, że będą zaraz łapać świeżość, której jeszcze nie mają - mówi szkoleniowiec Biało-Zielonych.

Ostatnie mecze nie były udane, więc wymuszą zmiany w składzie Lechii na najbliższe

spotkanie. Pod znakiem zapytania stoi występ Eliasa Olssona, który w środę nie trenował. W Gdańsku szukają zastępstwa, bo zawodzi Andrei Chindris. Problem ma rozwiązać Bujar Pllana, 22-letni stoper z Kosowa, który może grać także na prawej obronie. Jeśli pomyślnie przejdzie testy medyczne, to ma podpisać kontrakt z Lechią, ale trudno brać go pod uwagę już na mecz z Zagłębiem. Wiele wskazuje na to, że do podstawowego składu wskoczą Conrado i Karl Wendt, a na ławce rezerwowych wylądują Miłosz Kałahur i Tomasz Neugebauer. Te decyzje na pewno nie będą zaskoczeniem, a wręcz należy się ich spodziewać.

- Niektórzy zawodnicy nie prezentują się tak, jak ja bym chciał, ale też jak oni sami by chcieli. Rywalizacja jest coraz większa, a Went pokazał, że może deptać po piętach Kapićciowi czy Neugebauerowi. Mamy kolejnych zawodników, którzy są bardziej gotowi do gry niż tydzień czy dwa tygodnie temu. Idziemy drogą, którą przewidzieliśmy, że z dnia na dzień będziemy personalnie lepsi i zaraz to samo będziemy mogli powiedzieć o drużynie - zakończył trener Grabowski.

Mecz Lechii Gdańsk z Zagłębiem Lubin rozpocznie się w niedzielę o godz. 14.45 na stadionie Polsat Plus Arena. Transmisja w Canal+ Sport 3.

© ©

Po drugie zwycięstwo w Gdyni. Arka nastawia się na zespół Znicza

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Trzecie zwycięstwo z rzędu, a drugie przed własną publicznością marzy się zawodnikom Arki Gdynia. Żółto-niebiescy dziś o godz. 20.30 podejmą drużynę Znicza Pruszków.

Dopiero piąty raz w oficjalnym meczu spotkają się piłkarze Arki Gdynia i Znicza Pruszków. Przy Olimpijskiej żółto-niebiescy jeszcze nie przegrali z ekipą z Mazowsza. Nie tylko to spra-

wia, że podopieczni trenera Wojciecha Łobodzińskiego będą faworytem piątkowego meczu. Gdynianie muszą jednak uważać na przyjezdnych, bo to jedno z pozytywnych zaskoczeń początku rozgrywek. Znicz wygrał w Warszawie z Polonią 1:0, zremisował w Chorzowie z Ruchem 0:0, a ostatnio ograł 2:1 u siebie Wisłę Kraków.

- Trzeba zacząć od biegania, zaangażowania i intensywności. Znicz to zespół, który jest powtarzalny. Bardzo silny fizycznie z kilkoma bardzo do-

brymi piłkarzami. Moim zdaniem będzie to najtrudniejszy mecz z naszych dotychczasowych. Jesteśmy mocno skoncentrowani i z pełnym szacunkiem podchodzimy do rywala. Bardzo ciężko stworzyć przeciwko Zniczowi sytuację bramkową - podkreśla Wojciech Łobodziński, trener Arki.

Mecz 4. kolejki I ligi Arka Gdynia - Znicz Pruszków rozpocznie się w piątek, 9 sierpnia 2024 roku o godz. 20.30. Transmitować go będzie TVP Sport na swojej stronie internetowej i w aplikacji mobilnej. © ©



Piłkarze Arki Gdynia liczą na drugie ligowe zwycięstwo w tym sezonie u siebie